

ELIZA ORZESZKOWA

Hekuba

ELIZA ORZESZKOWA

GLORIA VICTIS

Hekuba

(R. 1863)

I

Stara nie była jeszcze; nie miała więcej nad lat czterdzieści i w pierwszej młodości swej ładna być musiała, bo wyraźne ślady tego pozostały w zgrabnym rysunku twarzy jej, niepospolicie pięknych oczach, w obfitości włosów, teraz jeszcze do kolan długich i barwę gorejącego złota mających.

Ale nie w głowie były jej młodość i piękność; dbała o nie jak o piąte koło u wozu. Gdy jej ktoś z sąsiadów żartem raz powiedział: „Pani Teresa, gdyby ładnie ubrała się i uczesała, a krocziem trochę mniej zamaszystym chciała chodzić, to by jeszcze śliczną kobietką być mogła!” — zdziwiła się zrazu, potem się rozgniewała i sąsiada ofuknęła.

— Także koncept! Niechże mi pan Ignacy głowy głupstwami nie zawraca, a powie lepiej, czy pożycz mi tego grochu za zasiew, po który przyjechałam, czy nie pożycz, bo jeżeli nie, to siadam na bryczkę i jadę! Czasu nie mam!

Wiecznie czasu nie miała, śpieszyła, biegła, o coś starała się, coś pilnego do czynienia miała. Co czyniła? Boże wielki! Ani wyliczyć, ani opowiedzieć! Wszystko, co czynić trzeba było mając folwarczek malutki, dzieci sześcioro i męża, który był naprzód hulaką i marnotrawcą, potem próżniakiem i pieczeniarem, a potem umarł i ją wdową pozostawił.

Niektórzy na pracowitość jej fenomenalną, ruchy energiczne, na oczy błyszczące, a niekiedy aż gorejące spoglądając mawiali: „Co za temperament!” I mieli słuszność. Niezwykłość temperamentu była tym właśnie, co losami jej zarządziło.

Niegdyś osiemnastoletnią, ładną, dość posażną i szeroko spokrewnioną będąc, tak się była w sąsiedzie nicponiu zakochała, że perswazje ani wzbraniania żadne nie pomogły.

— Hulaka — mówiono jej — próżniak, bałamut, bankrut!

A ona:

— Nie ma na świecie aniołów. Każdy człowiek ma wady i on je ma także. Ale ja go z wadami i pomimo wad kocham i nigdy, aż do grobowej deski, kochać nie przestanę!

A kiedy matka i najbliżsi krewni stanowczo małżeństwu temu opierać się próbowali, oświadczyła, że w razie stawiania jej dalszych przeszkód z domu ucieknie, ani domyśla się, jakim sposobem i kiedy ucieknie, z wybranym swoim w jakim ustronnym kościółku ślub weźmie, a potem matkę i krewnych o przebaczenie poprosi. Że przebaczą, to dla niej wątpliwości nie ulega, bo ją kochają przecież — i jak jeszcze! A w dodatku szczęście jej przeproszać ich za nią będzie. Bo ona pomimo wszystkich przepowiedni czarnych i krakań kruczych ani na chwileczkę o przyszłym szczęściu swym nie wątpi.

Znając ją wszyscy wiedzieli, że to, co mówi, może próżną groźbą nie być. Tak żywa i śmiała była, tak dzielnie matce w gospodarstwie dopomagała, tak ochoczo do każdej zabawy albo roboty stawiała, że kozakiem-dziewczyną ją nazywano. Mogła bardzo łatwo uczynić to, na co inne stworzenie, potulne i nieśmiałe, zdobyć by się nie potrafiło.

Przy tym zdawało się nawet, że ten kościółek ustronny i takie na drodze niezwyklej złożenie dowodu miłości wybranemu posiadać dla niej mogły urok pewien, poetyczny czy romantyczny, bo za poezją w ogóle przepadała i pomimo niezwyklej żywości swej do marzycielstwa miała skłonność. Dużo za północ nieraz w poemacie jakimś zaczytała się umiała albo na pięknie zachodzące słońce, na ładny widoczek leśny, na łąkę bogato rozkwitłą zapatrzeć się tak, że jak ze snu budzić ją było trzeba, a gdy wybrany zasiadał do

fortepianu i głosem bardzo miłym śpiewać zaczynał: „Stój, poczekaj, moja duszko, skąd drobniuchną strzyżesz nóżką” albo: „Dwa gołębie wodę piły, a dwa ją mąciły”, do najciemniejszego w pokoju kącika usuwała się i po świeżej jak jutrznia jej twarzy cichuteńko spływać zaczynały perliste łzy.

Matce, krewnym, przyjaciółkom, wszystkim, którzy ją przed złym wyborem i losem ostrzegali, mawiała:

— Od ruiny majątkowej posagiem swym go wyratuję, do porządnego życia przyzwyczai się, bo mnie kocha. A czyż może być na świecie szczęście większe, wyższe, jak wyratować, uszczęśliwić, uszlachetnić, udoskonalić człowieka kochanego.

I gdy to mówiła, piwne źrenice jej sypały złotymi skrami, a policzki przemieniały się z płatków jaśminowych w pąsowe róże.

Nie było rady. Pobrali się i po krótkiej przerwie, która zdawała się urzeczywistniać marzenia kozaka-dziewczyny, w sercu, w głowie, w sposobie życia jej wybranego wszystko poszło po dawnemu. Tak jak dawniej począł próżniaczyć, w karty grać, na huczne polowania jeździć, różnym paniom i nie paniom głowy zawracać, jej posag i resztki majątku swego galopem roztrwaniać.

Uszlachetnienie i udoskonalenie kochanego człowieka nie udały się, czy i szczęście także? Naturalnie, ale tego domyślać się tylko było można, bo pani Teresa pomimo prawdomówności i wielomówności swej o losie swym i wszystkim, co on jej przyniósł, jak grób czy kamień milczała. Byłaż w milczeniu tym ambicja, skarg i użalań się nie znosząca, czy pomimo wszystkiego trwające kochanie? Jedno i drugie zapewne, lecz może więcej drugie niż pierwsze. Może pani Teresa należała do tych natur głębokich, w które gdy raz kochanie zapadnie, to go ani gorzkie łzy zawodu zalać, ani palące żelazo bólu wypiec nie są zdolne.

I to tylko widzieli wszyscy, że jak przedtem męża, tak potem dzieci, gdy na świat przychodzić zaczęły, kochała z czułością i troskliwością niezmierną, entuzjastycznie, bez granic. Inaczej widać kochać nie umiała i taka właśnie miłość musiała być koniecznym i wierzchołkowym wykwittem jej natury.

Sprowadziła też miłość ta w jej życiu dalszym następstwo dość osobliwe.

Kiedy ostatecznie majątkowo zrujnowani ona i mąż jej z trojgiem już dzieci zamieszkali w folwarczku malutkim, jedyną już ich własność stanowiącym, pani Teresa wnet obejrzała się po niedużych kawalkach pola, łąki, lasu, po zabudowaniach gospodarskich, po rachunkach dzierżawcy, który im w małym domku miejsca ustępował i zabrała się do pracy.

Zrozumiała, że wioszczyzna ta, w cichą samotność równin poleskich rzucona, stanowiła warsztat jedyny, na którym wyprząść i wytknąć trzeba było byt tych, których kochała, że ten domek pod słomianą strzechą, pomiędzy stare lipy i grusze wtulony, musi stać się opoką dla stóp drobnych, dla długiej przyszłości jej dzieci i że ona jedna tkąć na warsztacie, opokę przed skruszeniem się uchować potrafi. Pomocnika, tym bardziej wyręczyciela, nie miała, nie! Więc do warsztatu i opoki zabrała się sama żwawo, energicznie i rozpoczęło się dla niej życie twarde, szorstkie, jak wór sieczką napełnione drobiazgami, które tak jak źdźbła sieczki były dla dotknięcia ostre i kłujące, dla oczu szpetne i przykre.

On, licznych i mniej albo więcej majątnych krewnych mając, jeździł od dworu do dworu, tu tygodnie, tam miesiące bawiąc się i bawiąc, dla obyczajów gładkich i humoru wesołego wszędzie mile witany i widziany, zawsze jeszcze paniom podobający się i przypodobujący, ładnie śpiewający, na polowaniach umiejący strzelać celnie, a potem o nich najśmieszniejsze anegdoty opowiadać.

Do domu zaglądał kiedy niekiedy, w zgrabnych ramionach dzieci przez czas jakiś pochuśtał, żonę pieszczotami i czułościami osypał, a potem poziewać z nudy, wyciągać się w całej długości na sprzętach, nad nieszczęściami swymi biadać zaczynał, aż po niedługim czasie następowała pora humoru piekielnego, posępności grobowej, fukania na wszystko i wszystkich, czasem nawet gróźb rychłej, a bodaj nawet samobójczej śmierci, aż na koniec dłużej już życia w tej norze, w tej dziurze, w tym czyścucu ziemskim wytrzymać nie mogąc, odjeżdżał znowu, aby po tygodniach lub miesiącach powrócić na dnie niedługie. I zdarzyło się, że nigdy już nie powrócił. W domu daleko mieszkających krewnych srodze na polowaniu przeziębwszy się — umarł. Pani Teresa zaś długo po nim z twarzą od płaczu spuchniętą chodziła. Patrzący wówczas na nią mawiali pomiędzy sobą: „Ma też kogo

tak długo i wiele oplakiwać!” Ona jednak płakała długo i wiele. Taka już była...

Zresztą jak przedtem, tak i w dalszym ciągu chodziła po polach, dozorowała robotników, stróżowała nad orką, młócką, zasiewem, sianokosem, żniwem, doglądała inwentarza, z pomocą paru dziewczek ogrody uprawiała, nierzadko własnoręcznie gotowała strawę, a w długie noce zimowe szyła odzież dla siebie i dzieci. O pierwszych brzaskach dziennych, na mróz, deszcz, śnieżycę, wichurę czy na rajskie od ros świeżych i świtań błękitnych poranki letnie, pierwsza wychodziła z domu, aby nieliczną czeladź budzić, wraz z nią robotyienne rozpoczynać. Oprócz tego często do sąsiednich wsi i miasteczek jeździła, wszystko, co trzeba było, sprzedając, kupując, braki różne zapelniając, stratom zapobiegając, o mnóstwo drobin tego twardego bytu dobijając się z trudem, z targiem, z troską, od których nieraz poty perliste na czoło jej występowały. W dodatku zupełnie już nie wiadomo, jakim sposobem czy jakim cudem zdołała wśród tego wszystkiego trzech synów z kolei do szkół przygotować i wysłać, córkę jako tako wyedukować i dwoje dzieci najmłodszych, drobnych jeszcze, doglądać...

Cóż dziwnego, że od lat wielu już w sposób taki żyjąc — straciła formę. Było to wyrażenie jednego z sąsiadów, który patrząc raz na nią przez pokój idącą, z cicha rzekł do obecnych:

— Pani Teresa zupełnie straciła formę...

I prawdziwe to było do tego stopnia, że gdy szła, to z pewnego oddalenia trudno było powiedzieć na pewno, czy to kobieta albo mężczyzna idzie, a z bliska znowu każdy nic o niej nie wiedzący długo namyślać by się musiał przed zadecydowaniem, do jakiego stanu społecznego i poziomu cywilizacyjnego niewiasta ta należy.

Nie była wcale otyła, a jednak w pasie, ramionach i całej sobie była gruba. Pochodziło to ze zgrubienia czy rozrostu mięśni, które wciąż mocowały się z chłodem, gorącem i fizycznym trudem, a nadawało jej pozór bryłowaty, ciężki, dziwnie znowu sprzeczący się z żywością i energią ruchów. Po dawnych jaśminach i różach jej twarzy śladu już nie pozostało i ogorzałą, zgrubiałą skórą powleczone twarz ta zachowała tylko piękny zarys ust i czoła, a także te duże, w niepospolicie piękną oprawę ujęte oczy, których piwne źrenice teraz jeszcze umiały w chwilach wzruszenia czy zamyślenia sypać złotymi skrami lub świecić jak gwiazdy.

Ale do tego stracenia przez panią Teresę formy więcej jeszcze od zgrubiałości mięśni i twarzy przyczyniało się ubranie. Byłże to był dla wytwornych i strojnych sąsiadek skład dziwów nad dziwami w tym ubraniu, które nigdy nic wiedzieć nie chciało o modzie i elegancji, a wiedziało tylko o taniości i wiecznym braku czasu! Więc spódnice jakieś zbyt krótkie, a co gorsza, z jednej strony dłuższe, z drugiej krótsze, kaftany jakieś źle skrojone i z pierwotną prostotą uszyte, buty grube i stukające, chustka na głowie zamiast kapelusza. I tylko włosy... Do tych pani Teresa słabość snadź miała, bo zawsze lśniące i w gładki warkocz zaplecione, zwijały się z tyłu jej głowy na kształt ogromnego węża, który by miał barwę mieniającą się w blasku słońca łuski kasztana.

Zapracowała się pani Teresa, zaniedbała samą siebie i „straciła formę”, lecz nie zdawało się to ją martwić ani zawstyżać, ani zrażać do bywania kiedy niekiedy w domach sąsiedzkich, do brania udziału w licznych nawet zebraniach towarzyskich. Był w niej pociąg do życia towarzyskiego; wesola pomiędzy ludźmi bywała, mówna. Gdy z bryczuszki w dwa małe koniki zaprzężonej przed domem sąsiadów wysiadłszy, krokiem swoim zamaszystym i stukającym, w sukni z jednej strony krótszej, z drugiej dłuższej, do pięknego, wykwińskiego, ludnego salonu wchodziła, na ustach miała uśmiech szeroki, który rząd zębów jak perły białych odsłaniał, a na powitanie ręce obecnych tak mocno w stwardniałych od pracy dłoniach ścisłała, że niektórzy aż z bólu sykali. Na kanapie albo jakim paradnym fotelu ją posadzić zupełnym było niepodobieństwem.

Wykręcała się od zaprosin, zawieruszała się pomiędzy towarzystwem, gdzie to tu, to ówdzie słychać było, jak całowała się z paniami, żartowała z panów, o różnych rzeczach i sprawach rozprawiała głosem przyzwyczajonym do przemawiania w polu, w ogrodach, w stodole, więc zbyt donośnym i niekiedy wpadającym w tony tak grube, że trudno było z dała rozróżnić, czy to jest męskie albo niewieście mówienie.

Ale u siebie w domu, w Leszczyńce swojej, gdy nikt obcy na nią nie patrzył, miewała często czoło zmartwione, a oczy pełne zadumy czy tęsknoty. Nieraz gdy w gorące żniwa po dniu na skwarze słonecznym spędzonym z pola do domu powracała, krok jej zamaszystość

swą utracił i powolny stawał się, zmęczony, a wzrok ku górze podniesiony błąkał się po obłokach przez letni przedwieczerz malowanych i złoconych. Zbaczała nieco z drogi wprost do małego dworku prowadzącej, wchodziła na łączkę przydrożną i tam wśród mietlic rozczochranych i koniczyn kwitnących siadała.

Rozczochrane mietlice, koniczyny wysokie, gronami białych pereł obwieszone, szczeniaki o potężnych, czerwonych kitach ogarniały ją i zasłaniały aż po szyję, tak że nad tą topielą puszystą i różnobarwną widać było tylko jej głowę z bujnym, ognistym warkoczem i z twarzą od znoju wilgotną. Lekkie wiatry przedwieczorne muskały wtedy tę twarz uznojoną, a przed oczyma od zmęczenia przygasłymi powstawała nad niedalekim lasem zorza wieczorna, złota i różowa. I patrzyły wtedy oczy te na zawieszającą się pomiędzy niebem i ziemią zasłonę świetlną, patrzyły, podziwiała, modliły się, wielbiły, aż poczynały nabierać od niej blasku, aż powracały od nich siła i radość życia, aż marzące, smutne, rozmodlone, zachwycone, nad gęstwiną mietlic, koniczyn i szczeniaki — świeciły jak gwiazdy.

Zdarzało się również, że w noc zimową, za domem białe od śniegu, w domu ciche od powszechnego uspienia, ogarniały ją zadumy do fal gorzkich, posępnie szemrzących podobne.

Dzieci w przyległym pokoju spały spokojnie, a ona w izdebce swojej u jedynej jej okna przy świetle małej lampy odzież ich naprawiała. Wysoki stos białych płócien wznosił się przed nią na stole, wiatr za oknami szumiał, czasem gałąź wiatrem poruszona sucho i twardo w szybę zastukała lub świerszcz odezwał się pod piecem.

Z głową pod światłem lampy pochyloną szyla, lecz nieraz igła wysuwała się z jej palców i czoło na dłoń opadało. Z czołem i oczyma zakrytymi dłońią siadywała nieruchomo i tylko czasem, jakby czemuś dziwiąc się bezdennie lub nad czymś boleśnie biadając, głową powoli wstrząsała lub w obie strony kołysała. Dziwowałaż się tak losowi własnemu? Biadałaż nad omyłką w dniach kwitnącej młodości popelnioną?

Niekiedy także wśród takiej zadumy nocnej z ust jej wychodzić poczynały nuty piosenki starej: „Dwa gołębie wodę piły...” Nigdy więcej nad ten początek piosenki nie zanuciła, opamiętywała się zaraz, milkła... Byłoż to echo od wiosny życia w tę noc zimową przywiane, echo i odblysk miłości jedynej w życiu, zawiedzionej, zdeptanej?...

Ale w sąsiednim pokoju jedno z dzieci niespokojnie poruszyło się na posłaniu, drugie wśród snu krzyknęło.

Pani Teresa, w mgnieniu oka na nogach, biegła ku sypialni dziecięcej, a gdy po chwili, przekonawszy się, że nic złego nie zaszło, powracała, oczy jej, usta, twarz cała jaśniały od błogiego uśmiechu.

— Robaki moje, kwiatki, brylanty, pociechy, skarby moje!

Wśród licznych jej znajomych byli tacy, w których budziła szacunek lub podziw i tacy, których bawiła albo nudziła, którzy też ją po trochu wyśmiewali. Dość powszechnie zresztą przypieczano do niej nazwę Virago. Życie zaś inną jeszcze nazwą obdarzyć ją miało...

II

Tej wiosny syn najstarszy pani Teresy, dwudziestoletni student od paru lat w dalekiej stolicy przebywający, razem ze skowronkami do Leszczyńki zleciał i już z powrotem nie odleciał. Gdyby pani Teresa do powrotu go namawiała, nie usłuchałby pewnie, ale ona nie czyniła tego i raz go tylko oburkliwie, krótko zapytała:

— Cóż będzie, Julek? Nie pojedziesz?

— Nie, matuchno — odpowiedział. — Nie pojedę...

Czoło jej zbiegło się w dwie grube zmarszczki i przez chwilę stała ze wzrokiem w ziemię wbitym, posępna i zgnębiona. Potem jednak głowę podniosła i spokojnym głosem już rzekła:

— Ano! Cóż robić? Kiedy inaczej być nie może...

— Nie może, matuchno!

— Ja to i sama wiem. A kiedy inaczej być nie może, to i basta!

Do gospodarstwa odeszła. Ale kiedy z pękiem kluczy w ręku szła przez mały dziedziniec do świrna, w którym różne zapasy żywnościowe się mieściły, krok jej cięższy i powolniejszy był niż zwykle.

Bóg jeden tylko wiedział, z jakimi trudnościami, przeszkodami, troskami zdołała ona syna tego do szkół przygotować, w szkołach utrzymać, do stołecznego uniwersytetu wy-

słać. Parę razy ktoś z krewnych dopomógł nieco i oto za lat trzy Julek skończonym medykiem zostanie, a jakim będzie medykiem i jakim człowiekiem, to już ona jedna tylko wiedzieć mogła, która go najlepiej ze wszystkich ludzi znała i tyle już dziwów o jego zdolnościach, o jego duszy, o jego przyszłości wyroiła. W rojeniach tych zresztą wcale nie wszystko było urojeniem i powszechne zdanie w okolicy panowało, że pani Teresa syn najstarszy dobrze się udał. W zimie, która tę wiosnę poprzedziła, sąsiedzi często słyszeli ją mawiającą:

— Oho! Niech no tylko Julek nauki skończy i na własnych nogach stanie, to już ja o przyszłość Janka, Olka, Brońci i Ludwinki spokojna będę. Choćbym i oczy zamknęła, choćby na Leszczynkę nieurodzaje i inne klęski spadły, on zginąć im nie da!

— A dlaczegoż to pani — ktoś raz zauważył — wszystkie dzieci wymieniając, o pannie Inie zapomina?

Na to pytanie radość na twarzy jej zgasła i oczy niespokojnie zaczynały migotać.

— Inka! No, cóż Inka! Osiemnaście lat kończy, już dorosła...

— Za mąż rychło ją pani wyda, co?

— Może... pewnie... na to przecież rosną dziewczęta...

— Patrzeć tylko, jak chłopiec jakiś porwie ją od pani... Jakże, takie śliczności...

— A pewnie, że śliczna jest! co prawda, to prawda! — rozpromieniała się znowu pani Teresa, lecz wnet z nowym zaniepokojeniem oczu i czoła dodawała:

— Tylko że ta śliczność tak samo nam kobietom nieszczęście jak szczęście sprowadzać może. At! W rękę Boga los ludzki! Jak Bóg da!...

Znać było, że wspomnienie o ślicznej Ince niepokój w niej budziło, ale dlaczego, nikomu o tym nie mówiła. Właściwie dziewczynie tej, za którą gdy tylko się gdziekolwiek ukazała, panowie jak słończniki za słońcem się obracali, na imię było: Michalina, ale ona imię to zbyt lada jakim znajdując, gdy tylko dorosła, zaczęła wszędzie, gdzie tylko mogła, nazywać się i podpisywać: Ina. Dla dogodzenia jej wszyscy tak samo nazywać ją zaczęli, bo dogadzać jej każdy czuł potrzebę, mus niemal. Nie byłaś śliczna?

Dzień był kwietniowy, bardzo pogodny i ciepły. Wiosny tej kwiecień przyszedł na świat taki, jaki zazwyczaj maj przychodzi. Przedwczesne upały dopiekać zaczynały i wszystko przedwcześnie rozzieleniało się, rozkwitało. W Leszczynce szare ściany małego domu oblewał blask słońca, na strzechę mchem błękitnawym poplamioną lipy kładły pełne listowia gałęzie, przed kilku małymi oknami kwitło na grzędach trochę narcyzów i piwonii. Na małym dziedzińcu budowlankami gospodarskimi otoczonym i w znacznie większym ogrodzie owocowym i warzywnym panowała cisza, którą napełniał niezmierny, radosny gwar ptactwa. Mnóstwo tego pierzastego drobiazgu gnieździło się tu w gałęzistych drzewach i metalicznym szczebiotem jak winem musującym napełniało czarę kryształowego czystego powietrza.

Julka ani Inki nie było w domu. On teraz często puszczał się na wyprawy po sąsiedztwie i całym powiecie, ją sąsiadki na dość długo zabrały, aby im w jakichś pilnych zbiorowych robotach pomagała. Pani Teresa szła z ogrodu warzywnego, gdzie kilka kobiet wiejskich jakąś zieleninę na zagonach rozsadzało, a dwie kilkuletnie dziewczynki, w krótkich sukienkach, wysoko nagie ich nożęta odkrywających, krok w krok za nią wśród agrestowych krzaków dreptały. Niezwykle zamyślona pani Teresa zdawała się nie słyszeć dwóch cienkich głosików, które tuż za nią, to po kolei, to razem wołały:

— Mamciu! Mamusiu! Matucho! Mamciu!

Myślała. Jak on teraz, ten Julek, często wyjeżdża z domu, jak się pomiędzy rozmaitymi ludźmi po wsiach i po miasteczkach kręci, a gdy powraca, jaki mu czasem żar pali się w oczach. Zawsze miał takie oczy błyszczące, ale teraz to tak zupełnie, jakby kto żaru w nie nasypał... Nic nigdy o tym, gdzie był i co robił, nie mówi, nawet przed matką. Tak i powinno być; ona do niego o to żadnej pretensji nie ma, ale sama domyśla się, że snadź już, już... pora nadchodzi... Oj, ciężka pora... Tak się boi, tak się okropnie boi...

— Mamciu! Mamusiu! Matucho!

Nie słyszy. Westchnęła głośno.

Za ojczyznę, za wolność, prosta to rzecz i naturalna. Ona to dobrze rozumie. Ona tak samo myśli i czuje jak Julek. Czy chciałaby, aby on myślał i czuł inaczej? Nie! Broń Boże! Za tchórza i za galgana miałyby go, gdyby tak było. Wołałaby do grobu go położyć niżeli

widzieć tchórzem i gałganem. Już dawno powiedziała sobie, że inaczej być nie może i — basta! Ale na sercu ma taki ciężar, taki okropny ciężar.

— Mamciu! Mamusiu! Mameczko!

Nie słyszy. Idzie coraz powolniej i głowa jej, sztywną, muslinową chustą przed upałem osłonięta, coraz niżej na pierś opada.

Co z tego będzie? Co będzie? Zamiar wielki i święty, tak, święty! Ale skutek jaki? Powiadają, że jeśli nikt nie pomoże... ale to jest głupie gadanie. Pomóc to pomogą, bo alboż to ludzie na świecie z kamienia są albo z błota, aby widząc taką sprawę świętą, takie męczeńskie targanie się, nie ujęli się, nie ratowali? W Bogu nadzieja, że tak będzie, jak młodzi Koniieccy onegdaj mówili. Interwencja mocarstw nastąpi i wszystko dobrze pójdzie. Ale tymczasem... kule... A gdyby jedna z nich... w Julka... O, nie daj Boże! O, nie pozwól! Pod Twoją opiekę i obronę uciekamy się, święta Boża Rodzicielko!

— Mamo! Matuchno! Mamo!

Na koniec usłyszała, a raczej uczuła czepiające się sukni jej cztery łapki.

— Czego chcecie?!

Dwie drobne twarze, rumiane, pyzate, podnosiły się ku niej i jedna ze śmiechem, druga z nadąsaniem rzekły:

— Jeść chce się!

Splasnęła dłońmi i krzyknęła:

— A prawda! Toż to wy dziś nic jeszcze nie jadły! Toż ja o was zapomniałam. A biednińkie wy moje, mileńkie... głodne... Chodźcie prędzej, chodźcie do domu, chodźcie...

Rażnie już, szerokim krokiem iść zaczęła, a przed nią dwa maleństwa szybko po zielonej trawie bosymi stopkami przebiegały, wkrótce też przez boczne drzwi domu do małej sionki wbiegły. Ale panią Teresę wejść tam za nimi mającą w progu ogarnęły i prawie nad ziemię uniosły męskie jakieś ramiona i nim opamiętać się zdołała, po sionce ją okręciwszy, do przyległego pokoju walcowym krokiem wciągnęły. Przy tym głos młodzieńczy, wesoły wołał:

— Dzień dobry mamci! Dzień dobry matuchnie! Jak matuchna ma się?

I kręcąc się z nią jeszcze po pokoju, śmiał się:

— Cha, cha, cha!

A ona zdyszana i z twarzą w ogniu krzyczała:

— Puść, Julek! Ach, ty swawolniku, wariacie, nicponiu! Puść, mówię, bo tchu już nie złapię...

I tak samo jak on śmiała się:

— Cha, cha, cha!

Aż gdy wypuścił ją z objęć, ku drzwiom od kuchni skoczyła i krzyknęła:

— Teleżukowa! Daj maleńkim śniadanie.

I wnet do syna powróciła z ustami pełnymi zapytań.

— No, jakże masz się? Tydzień cię w domu nie było. Daleko jeździłeś? Skąd teraz przyjechałeś? Co się tam na szerokim świecie dzieje?

On ją kilka razy w obie ręce pocałował, po czym, na starej kanapce usiadłszy, z miną uroczyście nastrojoną mówić począł:

— Uczynki miłosierne co do ciała: głodnego nakarmić, spragnionego napoić... a dopiero gdy się tego dokona, przyjdą tamte, co do duszy: nie wiedzącego uwiadomić, pytającemu odpowiedzieć...

— No, no, już rozumiem! Zaraz nakarmię i napoję! Oj, ty, swawolniku mały!

I już ku drzwiom od kuchni śpieszyła, ale gdy około niego szła, za rękę ją pochwycił i z oczami ku niej podniesionymi, głosem niższym rzekł:

— A potem pójdziemy do pokoju mamy na rozmowę poważną. Mam do powiedzenia mamie coś bardzo ważnego...

Ona zbladła na twarzy i oczy jej zmąciły się, jak gdy kto kamień na wodę rzuci.

— Coś ważnego... — powtórzyła szeptem.

Ale wnet uspokoiła się.

— Dobrze, pomówimy, tylko ci do zjedzenia cokolwiek przyniosę.

Sam pozostawszy Julek z kanapki się zerwał i mały pokój szybko wzdłuż i wszerz przebiegać zaczął, drobnego wąsika pokręcając, z głową pochyloną, zamyślony. Jednak pomimo zamyślenia spod drobnego wąsika ładnym tenorem zanucił: „Cicho, cicho, ktoś

nadchodzi, serce mówi...” I urwał. Tonęła piosenka młodzieńcza w falach myśli szumnie i tłumnie toczących się przez głowę.

Swawolnikiem był od dzieciństwa najmniejszego aż dotąd, ale mały to nie był bynajmniej. Wzrost wprawdzie mierny miał, ale barki szerokie, w stosunku do wzrostu nawet za szerokie, co trochę krępy go czyniło; jednak z kształtów i ruchów biła mu taka rzeźkość i żywość, że zgrabny się wydawał, a przede wszystkim za doskonale upostaciowanie zdrowia i siły mógł uchodzić. Po matce wziął czuprynę gęstą, ładny wykrój czoła i piękne piwne, błyszczące oczy, lecz na razowym chlebie macierzyńskim policzki mu nieco zanadto spulchniały, tak że okrągłe i rumiane przypominały pызatych aniołów na obrazach niekiedy malowanych. Z twarzy tej ogień młodości gorącej, namiętnej aż tryskać się zdawał.

Nie tak wyglądał, gdy w ziemie minionej całe szeregi nocy spędzał w trupiarni, gdzie błady od bezsenności z ciekawością namiętą badał na ciałach, które śmierć rozkładała, tajemnice ludzkiego życia. Ale teraz nie znać było na nim ani tych nocy pracowitych i ponurych, ani innych wrzawliwych, które w izbie studenckiej, w obłokach tytoniowego dymu spędzał na namiętnych sporach i rozprawach z tłumem kolegów. Teraz wszystkie prace, wszystkie przedmioty sporów i rozpraw, wszystkie dążenia i zamiary jak drobne świece pogasły przed blaskiem jednej myśli, jednej nadziei, jednego zamiaru i celu.

Wnet po wczesnym i krótkim obiedzie rzekł do matki:

— Może do mamy pokoju na rozmowę pójdziemy, bo tam bębny najmniej przeszkadzać będą...

— Jakie tam bębny! Janek i Olek zaraz znowu do wioski albo do lasu polecą...

— Są jeszcze dwa mniejsze bębni...

— No, te robaki... nic jeszcze nie rozumieją! Ale idź do mego pokoju, a ja tylko Teleżukowej coś powiem i tam przyjdę...

Niebawem wchodziła do tego pokoju, który był właściwie izdebką wąską, o jednym na ogród wychodzącym oknie, a tuż za nią wysoki próg przestąpiły Brońcia i Ludwinka. Dwa też cienkie głosiki zadzwoniły:

— Matuchno! Mamusiu! Mamciu!

— Czego chcecie?

Z oczyma na matkę podniesionymi chwilę milczały, a potem najspokojniej i najpoważniej w świecie odpowiedziały:

— Niczego!

Z matką i przy matce być chciały tylko, a przy tym lubiły niezmiernie tę izdebkę, do której wstęp bez niej z powodu rachunków stół do pisania okrywających, był im wzbrowniony.

Mogłyby sobie z tych papierów zabawki powykrawać lub na wiatr je puścić.

— No, kiedy niczego, to idźcie stąd sobie! Do Teleżukowej idźcie!...

Z zadartymi główkami uczepliły się czworgiem rączęt spódnicy matczynej i Brońcia, brunetka śniada, żałośnie, a Ludwinka, lnianowłosa i różowa, z gniewnym tupaniem nóżek, jednogłośnie zawołały:

— Nieceeee!

Julek pochylił się i w mgnieniu oka jedną na jedno ramię, drugą na drugie pochwyciłszy, znad ziemi je podniósł.

— E! Niech robaczki trochę sobie przy Teleżukowej popelzają! Tu niepotrzebne!

Śmiejąc się z izdebki je wynosił, a one śmiały się także głośno i nagie, długie, ogorzałe ich nożęta kołysały się w powietrzu, z ramion braterskich zwisając.

Pani Teresa tymczasem stanęła przy otwartym oknie, za którym rósł wysoki i gęsty krzak bzu już rozkwitać poczynającego. Krzak ten tak zasłaniał okno, że nic przezeń widać nie było oprócz kawałka błękitu niebieskiego za najwyższymi szybkami.

Kiedy Julek powracając drzwi za sobą zamknął, izdebka zdawała się być szczelnie przed wszelkim okiem i uchem ludzkim ukryta.

— Cóż, co mi masz do powiedzenia? — rzuciła się ku synowi pani Teresa.

Poblądła twarz i zmacone źrenice jej widząc, uspokajać ją począł:

— Nie to, nie to jeszcze, co mama myśli. I to przyjdzie, naturalnie, ale nie teraz jeszcze. Teraz coś innego, ale także ważnego.

I tu, u otwartego okna stojąc, począł mówić dość głośno, bo i po cóż miałby szeptać, skoro nikogo w pobliżu nie było i nikt podsłuchiwać ani myślał.

Czy tylko nikt? Coś jednak za krzakiem bżowym zaszleściło i coś ciemnego wśród gęsto splecionych gałęzi zaszarzało. Ale pani Teresa i Julek uwagi żadnej na to nie zwrócili. Małoż to skrzydeł ptasich za oknami trzepoce, a byłoż im w tej chwili do przyglądania się grom barw i światel w krzakach?

Tymczasem po drugiej stronie bżowego krzaku dwie postacie chłopiące, jedna niedorośła, a druga wcale jeszcze dziecinną, w postawach wyprężonych i ze skamieniałymi od wytężonej uwagi twarzami podsłuchiwały.

Tak samo jak Brońcia i Ludwinka, Janek i Olek poszli jeden w matkę, drugi w ojca. Włosy ciemne i złote, jednostajnie krótko przystrzyżone, oczy piwne i błękitne, jednostajnie w tej chwili od ciekawości namiętnej rozblysły, cery jednostajnie przez wiosenne wiatry i upały opalone. Tylko że starszy wysmukły był i wydawał się sprężysty, gibki, a z twarzy bladawej wrażliwy i zapalczywy, u młodszego zaś krępość czy przysadzistość kształtów łączyła się z rumianością, powlekającą pyzate, zupełnie jeszcze dziecinnie policzki. Zresztą lat niespełna piętnaście i trzynaście, stare jakieś, już za krótkie i za ciasne mundurki szkolne, stopy bose, ślady świeżej wędrownki po drogach piaszczystych i podłożach leśnych na sobie mające.

Z kilkugodzinnej wędrownki po wsi chłopskiej i lesie powróciwszy, zaraz spostrzegli, że pomiędzy matką i Julkiem coś jest, jakiś sekret, niepokój. Przy stole obiadowym matka mniej niż zwykle mówiła, nawet ich za niezgrabne jedzenie gderać zapomniała, a Julek zamyślał się często i ani razu z nich nie zażartował. Oni od dawna już czegoś domyślali się, coś w powietrzu czuli, o czymś z zasłyszanych rozmów pomiędzy starszymi wiedzieli. W szkołach jeszcze, tam w mieście, skąd na świąteczne wakacje do domu przyjechali, wiele już o tym, co ma stać się, pomiędzy kolegami mowy było. A dlaczego po przejściu wakacji świątecznych matka do miasta i szkoły wrócić im nie pozwoliła? Oho! Słyszeli dobrze, jak raz do Julka powiedziała: „W czasach takich kto wie, co z dziećmi stać się może. Niech lepiej w domu zostaną”. Julek zauważył, że rok czasu w szkole stracą, a ona odpowiedziała: „Niech lepiej rok stracą, a żywi i cali zostaną!” Ot, co zaszło! Aby żywi i cali zostali! Inni to mają prawo rozporządzać się swoim życiem i swoją całością, a oni niech przy fartuszkach maminym siedzą i hańbą choćby okrywają się, zdrajcami kraju zostają, byleby... Bo zdrajcą kraju jest i hańbą okrywa się ten, który teraz... A skądże pewność, że Julek żywy i cały zostanie? Jednak zamierza czynić to, co mu serce czynić rozkazuje, ku czemu ciągnie go przykład wszystkich bohaterów rzymskich i polskich, a mama na to zgadza się... Dlaczegoż to jemu wolno, a im nie? Względem starszego brata coś na kształt zazdrości uczyli i od dawna już kroki jego śledzić, rozmowom przysłuchiwać się zaczęli. Ale na podsłuchiwanie zdobywali się dziś po raz pierwszy. Jakże można było nie dobrać się, skoro tuż za progiem stojąc niechcący usłyszeli byli, jak Julek mówi: „Do mamy pokoju na rozmowę pójdziemy, bo tam bębny najmniej przeszkadzać nam będą!” Na te słowa w starszym aż coś zagotowało się, zawrzało. „Słyszysz, Olek? — bębny!” A Olkowi lzy zakręciły się w błękitnych oczach. Cicho jak myszy mały dom dokoła obiegli, na ławce pod krzakiem bzu przysiedli i w stronę okna do izdebki matczynej słuch wytężyli. Janek wyprężył się jak struna i ku matczynemu oknu cały wygięty, ręką kurczowo brzeg ławki ścisnął, Olek zaś zgarbił się, napuszył i rumiane policzki tak wydał, jak gdy czasem na rozkaz matki ogień w samowarze rozdmuchiwał.

Słuchali. Jakkolwiek Julek nie zniżał bardzo głosu, jednak pomimo woli może zniżał go nieco, więc wszystkiego, co mówił, słyszeć nie mogli i w słuch im wpadały czasem zdania niecałe, czasem wyrazy oderwane:

„Dziś po zachodzie słońca... wprost do Dębowego Rogu... tu nie zajadą...”

A potem zapytanie matki: „Wiele tam tego będzie?”

I odpowiedź Julka: „Szabel... rewolwerów... kos...”

Janek od stóp do głowy dreszcz wstrząsnął. Jedną ręką ścisnąjąc brzeg ławki, drugą brata za kolano pochwycił.

— Słyszysz, Olek? Słyszysz?

Ten drzeć zaczął jak w febrze.

— Aha! szab... szab... szab... le...

— Ciiii-cho!

Matka mówiła znowu:

— Motyki do kopania ziemi wziąć trzeba...

A Julek:

— Ja z Teleżukiem. Czy on w domu?

— Pewnie... powiem mu...

Chwila milczenia, po czym znowu Julek mówi:

— Tylko z chłopcami... żeby nie widzieli...

— E! Także! głupstwo! Błazenki te, co oni...

— Niech mama tak... niech mama tak nie... oni i bardzo nawet... spostrzegam...

— Nie może być! Swawole im jeszcze w głowie i Janek w książkach cały...

— No, no! Tak się mamie... materiał palny...

— Spać im iść każe... dla twojej spokojności...

Tu drzwiczki z izdebki matki do pokoju dzieciennego prowadzące przeciągle zaskrzy-
piały i jednocześnie dwa cienkie głosiki rozległy się tak donośnie, że aż za oknem słychać
było:

— Mamciu! Matuchno! Mamo!

— Ot, już tam i wjechały małe — sarknął Janek. — Wszystkiemu koniec będzie.

Zmykajmy!

Chyłkiem zerwawszy się z ławki, w pobliskiej gęstwinie drzew i krzaków znikli. Tam,
za gęstą zasłoną z zieleni na ziemi siedząc, długo, zawzięcie pomiędzy sobą szeptali. Nad
ich głowami blisko ku sobie pochylonymi i czołami w srogich namysłach, jak u starych
ludzi zmarszczonymi, młoda zieloność liści powiewała i na zabój śpiewały ptaki.

Pani Teresa z izdebki swej wypadła, dwa „robaczki” za drobne ręce nie prowadząc, ale
ciągnąc.

— Niech dzieci grzeczne będą... bo do kąta iść każe i krzesłami pozostawiam! Proszę
mi zaraz gdziekolwiek spokojnie usiąść i książeczkę z pieśniami czytać, a za mną teraz nie
łazić... bo przepędzę... do kątów...

Wiedziały „robaczki” czy jak je Julek nazywał „bębenki”, że gdy matka takim tonem
przemawiała, żartów nie ma. Cichutko więc wysunęły się z domu i na wschodce małego
ganku do drewnianego słupka przytulone, nad książczyną drobne głowy pochylały tak, że
aż prawie zetknęły się z sobą ich ogorzałe czoła i zmieszały się włosy lniane i brunatne.

Książczyzna w okładce zszarzałej i zmiętej antykiem była, starym dokumentem rodo-
wym, w który z rozkoszą wczytywały się niegdyś oczy pani Teresy, gdy była dzieckiem,
potem Julka w tejsze porze życia, potem Janka i Olka. Spadała w dziedzictwie z matki na
dzieci, z dzieci starszych na młodsze, była pierwszym drukiem, który oczy ich poznawały,
pierwszą opowieścią, która im w krwi i mózgu zatliwała iskrę przyszłego płomienia. Teraz
na kolanach Bronćci otwarta, pożółkłymi kartami odbijała na tle spłowiałej sukienki
z różowego perkalu.

Bronćcia nie bez pewnej jeszcze trudności czytać zaczęła:

— Mieczysław Stary...

— Nie chcę Miecislawa... — przerwało jej kapryśne sarknięcie Ludwinki.

Cierpliwie starszy „robaczek” kilka kartek przerzucił i zaczął:

— Władysław Ja...

Ale młodszy przerwał znowu:

— Nie chcę Władysława...

— No to czego chcesz?

Porwała Ludwinka książczynę z kolan siostry i na swoich ją rozłożywszy, z wydętymi
od wysiłku wargami przez chwilę karty przewracała. Po czym zaczęła z wielkim trudem
i jękaniem:

— L-e-le-s-i-e-k — Lesiek.

— Daj!

— „Przez dworaków opuszczona Helena w stroju niedbałym...”

Duży ptak furknął spod niskiego dachu i nad głowami dzieci przemknąwszy, lotem
strzelistym pomknął w dal.

— Jaskółka!

Nie wiedzieć czego porwały się i nie wiedzieć czego na całe gardziolka śmiejąc się
pobiegły w tę samą stronę, w którą jaskółka uleciała.

A pani Teresa pierwszy raz w życiu zapewne zdawała się o samym istnieniu najmłodszych swych dzieci zapominać. W kącie dziedzińca, pomiędzy szarymi ścianami stodołki i świrna, z chłopem barczystym i roslym, w siwą siermięgę ubranym rozmawiała. Był tak roslony, że aby w twarz mu patrzeć, głowę wysoko podnosić musiała, więc z wysoko podniesioną głową, z rękoma zwykłym sobie ruchem na kłębach opartymi, mówiła o czymś długo, cicho, a oczy jej w cieniu szarej stodołki jak iskry błyszcząły.

Chłop długiej jej mowy wysłuchał milcząc, z twarzą nad jej głową pochyloną. Na twarzy jego grubej, w grube fałdy pociętej, gęstym włosem siwiejącym z dołu zarosłej, nie odbijało się wrażenie żadne. Nieruchoma, zaspana jakby czy leniwa, podobna była do rzeźby z grubego kamienia, który barwą swą chleb razowy przypominał. Jednak z bliska można było dostrzec, że z tej niemej, ciemnej twarzy chłopca oczy spoglądały na podniesioną ku niemu głowę pani Teresy miękko jakoś i przychylnie, a zarazem nieco z ironią. Rzecz dziwna! Pod krzaczystymi, obwisłymi brwiami siwe oczy chłopca błyskały iskrą ironii. Po długim, milczącym słuchaniu, bez żadnego poruszenia w postawie, tak samo cicho, jak ona mówiła, a przy tym powoli, senliwie jakoś czy leniwie przemówił:

— Ej, pani! *Szczo z tobo bude?* Czy wy to tylko rozumnie i dobrze robicie? Czy z tego biedy wielkiej dla was nie będzie? Czy wy dzieci swoich...

Nie pozwoliła mu dokończyć, ale porywczo szeptać zaczęła:

— Teleżuk tego nie rozumie! Ja to Teleżukowi kiedykolwiek wytłumaczę! Tak już stało się i inaczej być nie może, a kiedy inaczej być nie może — to i basta! Ja Teleżukowi jak przyjacielowi wszystko powiedziałam i jak przyjaciela proszę... ale kiedy Teleżuk nie chce, to i nie trzeba... to my sami...

Już uniosła się obrazą czy ambicją, cała rumieńcem oblała się i ruch do odejścia uczyniła, ale chłop poufale za rękaw jej sukni ujął.

— Zaczekajcie, pani! Ot, wy zawsze taka prędką! Jak do dobrości, tak i do złości prędką!

Po ustach jakby z ciemnego kamienia wyrzniętych uśmiech mu się prześliznął po błażliwy i wnet zniknął. Zniknęła też z oczu iskra ironiczna.

— Co ja sobie myślę, to myślę, ale zrobię, jak każecie... Ja wszystko zrobię, co każecie... ja wasz poddany...

Pani Teresa aż zachnęła się, aż krzyknęła:

— Głupi Teleżuk jest ze swoim poddaństwem! Najpierw to, że nie ma już poddaństwa, a potem, czy, kiedy jeszcze było, ja Teleżuka za poddanego uważałam czy za przyjaciela, a? Niech Teleżuk zelże, że za poddanego... a?

On ręką wzgardliwie machnął.

— Et, z babą gadać, wodę mleć. Czy ja o takim poddaństwie gadał? Ja w poddaństwo do was poszedł wtedy, kiedyście wy rękami własnymi z żony i dzieci moich zarazę srogą ścierali...

Pani Teresa żalosnym ruchem ręce rozłożyła.

— Cóż, kiedy nie udało się!

— Z żoną udało się... z nimi nie... ale ja od tego czasu wasz sługa, wasz pies... Czego tylko ode mnie chcecie, to zrobię... bądźcie spokojni... co sobie myślę, to myślę, ale zrobię...

— Niech Teleżuk nic sobie nie myśli, dopóki ja nie wytłumaczę. Kiedykolwiek wszystko opowiem i wytłumaczę. Ale tylko...

Z nogi na nogę przestępowała, myślą jakąś zaniepokojona.

— Niech tylko Teleżuk nikomu o tym nie mówi, nikomu a nikomu...

Chłop ze wzgardliwością niewypowiedzianą ramionami wzruszył.

— Ot, pani niby to, a kiedy baba, to taki i durna!

Odwrócił się i już odchodził, silny, roslony, z pochyloną kamienną twarzą. Ona, z rękami opartymi o biodra, śmiejąc się, za nim patrzyła. Wrócił jeszcze.

— *A kolyż to bude?* — krótko zapytał.

— Gdy tylko ściemnieje...

— Gdzie te cztery wielkie dęby?

— Aha. Ja tam już będę.

— *W Dubowym Robu?*

— Aha!

Dzień dobiegał do końca, słońce zaszło, zorza wieczorna zagasała, na bezmiesięcznym niebie świeciły gwiazdy.

Nieszeroką drogą, pośród pola do bliskiego lasu prowadzącą dwoje ludzi szło szybkim krokiem i zamieniało się nielicznymi słowami.

— Czy byłeś w Lubinowie?

— Byłem... a jakże! Tam my często...

— Inka tam jest?

— A jest.

— Widziałeś ją?

— Naturalnie; jakże mógłbym nie widzieć! Ona przecież zawsze między rówieśnikami jak lilia między... jakże tam... niech będzie między... trawami.

— Także brednie! Powiedziałbyś lepiej, co ona tam robi?

— Cóż Inka może robić? Każdego, kto się na oczy jej nawinie, kokietuje!

— Julek!

— No i cóż takiego? Alboż mama sama o tym nie wie? Zresztą one tam wszystkie konfederatki dla nas szyją, koszule jedwabne i różne tam różności... oprócz tego śpiewają sobie, szczebioczą.

Kobieta westchnęła głośno.

— Julek...

— Co, mamó?

— Żebyś ty ze mną o siostrze choć raz serio porozmawiał!

— Kiedy bo, moja mamó, o Ince trudno jest mówić serio.

— Głupstwo! Dlaczegoż to?

— Bo w niej samej niczego serio nie ma. Dziewczyna pusta, w piękności swej, jak nasza szlachta okoliczna mówi, zadufana i w Leszczynce nudzi się piekielnie, a jak w świat wyleci, to sobie fruwa. Psychologia nietrudna i nieosobliwa.

— Aha! Ale bieda osobliwa może być...

— Jaka tam bieda! Za mąż pójdzie — i już.

Umilkli. Z obu stron drogi, w zbożu już dobrze podrosłym, przebiegały ciche szelesty, szmery, może chody glist i kretów albo podloty ptaków nad świeżo uwite gniazda. Las był już blisko; w ciemnej ścianie jego coś ćwirknęło, gwizdnęło i na chwilę umilkło, aż po zmroku gwiazdzistym, nad polem cicho szemrzącym rozległ się głośny, dźwięczny, przeczyszcie srebrny trzel. Rozległ się, pół minuty trwał i umilkł.

Julek podniósł głowę.

— Słowik! — szepnął i w szepcie tym jak w zwierciadle ludzkiego serca odbiła się tajemniczość wieczoru, gwiazd, ciemnego lasu i słowiczego trrelu.

— Wcześniej w tym roku słowik... — zaczęła pani Teresa i nie dokończyła.

— Oj, ten rok! Ten rok! Ten rok!

Słowa te jak z podmuchem wiatru wyszły z jej piersi z ciężkim, trzęsącym się westchnieniem.

A w tejsze chwili, w lesie znowu, lecz w dalszej jego głębi, w innej stronie, zabrzmiał taki sam jak przedtem trzel srebrem dzwoniący, przez oddalenie od tamtego cichszy i tak jak tamten umilkł, a bujne runie po obu stronach drogi i u brzegów ich majaczące w zmroku drobne twarze kwiatów zdawały się w nieruchomości słuchać, czekać.

— Słyszysz, Julek? Ten drugi to właśnie tam zaśpiewał...

— W Dębowym Rogu?

— Gdzie te cztery najstarsze dęby rosną...

— Mama i w ciemnościach dęby te rozpozna?

— Oj, oj! Ile razy ja tam byłam. Ile ja tam...

Miała już powiedzieć — przeplakałam! Ale wstrzymała się, umilkła. Zawsze wstyd jakiś czy hardość niepokonana wstrzymywały ją od głośnego wspomnienia o przelanych kiedykolwiek łzach. Więc milcząc szła dalej i tylko myślała o tym, ile razy w dniu letnie albo i jesienne biegła tą drogą, wpadała do tego lasu i ku owym dębom dążyła, aby w gęstym cieniu ich listowia ukryć dolę swoją i z nich wyciekające łzy. „Dwa gołębie wodę piły...” Mój Boże! ileż razy, gdy piosnka ta głosem kochanym śpiewana przebrzmiała dla niej — wciąż jednak brzmiąc dla innych — jeden z gołębi wił się z bólu i płaczu na mchach szmaragdowych, u potężnych stóp czterech najstarszych w tym lesie dębów!

Teraz szła ku temu miejscu ucieczek swych od oczu i uszu ludzkich z myślą ukrycia w nich czegoś innego niż łyż i szlochania.

Weszli do lasu i gdy szybko szli naprzód, omijając pnie drzew i gęste sploty gałęzi przed sobą rozchylając, ogarniały ich miejscami ciemności grube, a miejscami, tam gdzie rozstępowały się nieco drzewa, zmroki przezroczyste, z lekka przez gwiazdy rozświetlone i u dołu, przy samej ziemi, usiane drobnymi twarzami, które zdawały się patrzeć na gwiazdy. Były to anemony obficie i bujnie rozkwitłe, te narcyzy leśne, które nocami nawet odrzynają się od ciemności bielą śnieżystą. Dwa słowiki to tu, to tam odezwały się z kolei, ale krótkimi nutami, które wnet milkły. Jakby próbowały tylko swych instrumentów muzycznych, jakby je nastrajały...

Wtem przed dwojgiem ludzi przez las idących stanęła grubsza, gęstsza, wyższa niż gdziekolwiek indziej ciemność i z ciemności tej gruby, stłumiony szept zawołał:

— Pani! Pani! Toż to tu!...

— Teleżuk? Tak, tak! To tutaj! A turkotu nie słyszałeś jeszcze? Czy od strony Działkowicz turkotu nie słycać?

I stanęła jak wryta; o parę kroków od niej stanął też jak wryty Julek. W ciemności zaś ozwał się ten sam co wprzód gruby szept:

— Ot i jadą!

Słuchali. W dalekiej jeszcze głębi lasu toczył się turkot powolny, koła jakies z głuchymi stukami uderzały o wystające nad ziemią korzenie drzew czy o wystające nad mchami leśnymi kamienie.

Słuchali i w turkot ten powolny, a coraz bliższy, wyraźniejszy wsłuchani, nie usłyszeli kilku szelestów, które ozwały się w pobliżu.

Kędyś w pobliżu, w zarośli leszczynowej, złamała się z głuchym trzaskiem gałąź nadeptana czyjąś stopą, zaraz potem ktoś bardzo ostrożnie, jednak nie bez szelestu prześliznął się wśród leszczyn i gdyby oczy dwojga nieruchomych ludzi nie były wyteżone w stronę, od której zbliżał się turkot, mogłyby dostrzec dwie małe postacie, dwa raczej małe cienie, które wysliznąwszy się spomiędzy leszczyn, szybkim jak myśl ruchem zanurzyły się w padającą od drzew potężną ciemność.

Jednocześnie Julek na spotkanie turkotu zupełnie już niedalekiego poskoczył i po lesie rozszło się trzykrotnie powtórzone, krótkie, lecz przenikliwe gwizdnięcie.

U stóp grubej, wysokiej ciemności, która przestrzeń pomiędzy czterema potężnymi dębami zawartą napępiała, zatrzymał się wóz dwukonny, wysoko czymś naładowany i ktoś wysmukły, zgrabny, sprężystym ruchem młodzieńczym z niego zeskoczywszy, w mgnieniu oka przed panią Teresą się znalazł.

— Pan Gustaw — szepnęła — pan sam?

— Naturalnie, że sam. To najbezpieczniej. Takiego Teleżuka, jak pani, nie mam.

W rękę ją na powitanie pocałował.

— Julek, do roboty! A! I Teleżuk jest! Tym lepiej! We trzech prędzej pójdzie!

We trzech! Zapewne! Bez pani Teresy rachował młodzieniec z wozem naładowanym przybyły. Jeszcze tego świat nie widział, żeby ona, gdy robota pilna była, sama lub wspólnie z innymi do niej się nie zabrała.

— Teleżuk! Ile rydli przyniosłeś?

— Cztery, pani.

— Ot, sprytny! Wziął jeden i dla mnie.

Chłop spokojnie odpowiedział:

— Wiadomo.

I dźwignął z wozu grubą więź przedmiotów jakichś, szczelnie w coś owiniętych, które gdy w silnych ramionach je podnosił, metalicznie i ostro szcęknięły.

Niedaleko stamtąd, za grubym pnem dębowym, jakiś mały cień, przysiadłszy do ziemi, zaszeptał:

— Słyszysz, Olek?

A zza sąsiedniego pnia szept inny, jak liść na wietrze drgający, odpowiedział:

— Sza... sza... szab... le!...

Było to tak, jakby dwa małe robaki po ostrych kończynach traw przepętały i nie mogli tego usłyszeć ludzie krzątający się około wozu, tym bardziej że w tejsze chwili, kędyś blisko, jak zdroj z podziemia, wytrysnął z ciemności rozgłośny, pełny już teraz śpiew słowika.

Cztery stare, najstarsze w lesie dęby splatały w górze liściaste gałęzie i była to jakby kaplica napełniona ciemnością, ze stropem gdzieniegdzie ucętkowanym złotymi oczyma gwiazd. Unosiła się nad tą ciemną kaplicą nieprzerwana pieśń słowicza, a na podłożu jej poruszały się sylwety czworga ludzi i kiedy niekiedy pobrzękiwał metal. Pobrzękiwania te to dłuższe, to krótsze, to mniej, to więcej ostro, zdawały się towarzyszyć słowiczej pieśni, tak jak akordy instrumentu muzycznego towarzyszą ludzkiemu śpiewowi. Czasem jeszcze wydawać się to mogło rozmową tonów podniebnych, czystych, wolnych, wznoszących, przyziemnymi, ostrymi, groźnymi zgrzytami.

Oku we wnętrzu tej kaplicy patrzącemu trzeba było tylko oswoić się z ciemnością, aby rozpoznać robotę poruszających się w niej ludzi. Wykopywali doły, pograżali w nie przedmioty z wozu zdejmowane i nakrywali je warstwami ziemi pełnej ziół i mchu. Widać było szerokie chwilały rozmachy ramion pani Teresy i silnie w jej rękach uderzające o ziemię narzędzie pracy.

Pracowali w milczeniu, czasem tylko kilku słowami przerywanym.

— Niech mama odpocznie!

— Także gadanie! Na tamtym świecie wszyscy wieczny odpoczynek mieć będziemy!

A potem szeptał przybyłego z wozem młodzieńca:

— Oj, zmęczyłem się!

I odpowiedź pani Teresy:

— Także dziw! Rączki do roboty nie przyzwyczajone!

Potem, pracy nie przerywając, trochę zdyszonym głosem mówiła:

— A ja powiem, że nie szkodziłoby panom, oj, nie szkodziłoby dobrze sobie czasem pomachać siekierą czy tam kosą albo nad pługiem oblać się takim potem, żeby z nim razem wszystkie głupstwa, a to i grzechy z kości i duszy powychodziły...

Dwa młodzieńcze głosy zaśmiały się, a ona w odpowiedź śmiechowi temu sarknęła:

— Nie ma czego śmiać się: prawdę mówię!

Żelazco rydła głęboko w ziemię pograżając dodała:

— Nie do Julka to mówię... on od dzieciństwa do roboty nawykł...

— Do mnie pani to mówi?

— A pewnie! Małoż to grzeszków: polowanka, baliki, koniki, pieski, zawracanie główek dziewczętom... No, czy nie było? Niech pan Gustaw sam powie... małoż to tego było?...

On po krótkim odpoczynku znowu do kopania ziemi się zbierając odpowiedział:

— Już nie będzie.

Nie żart ani żal, ani smutek, lecz uroczysta powaga w odpowiedzi tej brzmiała. Czuć w niej było potężny wiew czasu, który w dalekość niezmierną odniósł od ludzi baliki, koniki, pieski i dziewczęce główki.

— Ty, Julku, do domu teraz nie wrócisz, ale ze mną pojedziesz... potrzebnyś!

— Wedle rozkazu, panie setniku!

Długo pracowali. Już i drugi słowik kędyś tam dalej na dobre się rozśpiewał, i konie u wozu zniecierpliwione długim staniem parskwały i czasem wydawały krótkie rżenia, gdy pani Teresa, narzędzie pracy na ziemię rzucając, rzekła:

— Skończone! Teraz wy sobie jedźcie, a ja z Teleżukiem do domu powrócę.

Teleżuk zbierał rydla i w jakimś krzaczystym schronieniu pomiędzy dębami je składał.

— Nie zabierzesz tego do domu?

— Ot! Żeby jeszcze nie śpiący ludzie zobaczyli! Już ja lepiej wiem, kiedy po to przyjść trzeba. Bądźcie spokojna, pani.

Po kilku minutach nikogo już pomiędzy starymi dębami nie było. W głębi lasu odzywał się czasem turkot wozu coraz słabszy i dalszy. Na drodze, pośród pól od lasu biegnącej, dwoje ludzi pośpiesznie szło ku majaczącemu w swych gruszach i lipach dworkowi.

Wtedy z gęstwin leszczynowych, zza potężnych pni dębów, wyskoczyły dwa małe cienie ludzkie i rzuciwszy się ku sobie, szybko, namiętnie zaszeptaly:

— Teraz, Olek! Teraz albo nigdy! Ziemia świeżo poruszona, odkopać łatwo...

— I rydla są...

— Widziałem, gdzie schował.

— I ja! I ja!

— Szabel nie można — za duże, ale pistolety...

- I kindżały...
- A jakże... Naboje do pistoletów też...
- Tylko, Olek, z całej siły kopać... z całej siły...
- Bo drugi raz już tak nie zdarzy się...
- Już ty mnie nie ucz, Janek, jak sam...
- Chodźmyż prędzej!
- Prędzej, prędzej!

Zniknęli w ciemnej kaplicy dębowej i nic już w lesie słycać nie było oprócz dwu pieśni słowicznych, które tony i trele zachwycone, rozmarzone, romantyczne, to razem, to na przemian rzucały pod świecące nad ciemnym, nad cichym lasem gwiazdy.

III

Ze wsi chłopskiej, do której dobry kawał drogi był z Leszczyńki, a w której dziś robotników do pilnej jakiejś roboty gospodarskiej zamawiała, pani Teresa biegła drożyną polną bez tchu prawie i cała potem oblana, bo ranek duszny był i upalny. Zdyszana, z policzkami gorąco zarumienionymi, ze wzrokiem zakłopotanym, do kuchni bocznymi drzwiami domu wpadła i wnet zawołała:

— Teleżukowa! A małeńkie gdzie?

Kobieta w chłopskim ubraniu, od kuchennego ognia twarzy nie odwracając, odpowiedziała:

- Z Julkiem w pole poszli...
- A chłopcy?
- W sadzie siedzą... czytają...
- Jedli co?
- Ojej! Może wy, pani, co zjecie?
- Nie chcę! Nie mam czasu! Do obiadu zaczekam...

Nie miała czasu na jedzenie; musiała w rachunkowej książce coś zapisać, bo potem zapomni, do ogrodu, gdzie dziewczęta warzywa pełły, złatać, do lochu, gdzie dziś udój bez niej postawili, skoczyć...

Więc jak wicher głośno za sobą drzwi zamykając parę izb przebiegła ku tej, która nazwę jej pokoju nosiła, dążąc, gdy wypadkiem na okno otwarte spojrzawszy, jak do ziemi przykuta stanęła i oczyma, w których to gniew, to żal iskry zapalał, na ogród za oknem otwartym zieleniejący patrzała...

Po ogrodzie...

Jakaż to księżniczka czy dama wielkoświatowa lub dworska w szacie białej, czarnymi cętkami nakrapianej, srebrną obręczą przepasanej przechadza się po tym biednym ogrodzie bez alei cienistych, bez dróg gracowanych, bez kwiatów wyszukanych? A może jest to jakieś zjawisko zaziemskie, które na chwilę tylko tu zleciało, bo wśród starych drzew owocowych i agrestowych krzaków, miejscami wśród zielsk dzikich, przesuwa się powoli, niedbale, nigdzie nie dążąc, na nic nie spoglądając, czasem tylko białą rączką zrywając z krzaku listek, który wnet roztargnionym czy zniechęconym gestem z palców wypuszcza. Na wydeptanej wśród trawy ścieżce stopki ładnymi pantofelkami okryte ostrożnie stawia, aby nimi jakiego kamyczka czy twardej kępki trawy nie dotknąć, ale że sukni białej w czarne kropki nie podnosi, więc malowniczo wlecze się za nią ona po trawie, jeszcze tu i ówdzie pobłyskującej rosą. Połyskuje też na niej opasująca kibić taśma srebrna i w jasnym złocie włosów kunsztownie utrefionych jak ogniska blasków iskrzą się gwiazdy z polerowanej stali wyrobione.

Pani Teresa w krótkiej, szarej spódnicy i muślinowej chuście na głowie, z twarzą od potu błyszczącą i żyłami tak od upału nabrzmiętymi, że zdawało się, iż wnet krew z nich wytryśnie, stała przed otwartym oknem jak w ziemię wryta i patrzała, aż skoczyła do okna i tak głośno, że po całym ogrodzie się rozległo, zawołała:

— Inka! Inka!

Strojna główka księżniczki czy zaziemskiego zjawiska białą jak lilia twarzyczkę obróciła ku domowi i głosik srebrny, delikatny, słodki odpowiedział:

— Idę, mamciu, idę!

Była biała jak lilia, w każdym poruszeniu wiotkiej kibici delikatna i łagodna; doskonale nakreślony owal jej twarzy przypominał madonny na obrazach malowane, usta porównać

można było do delikatnie zaróżowionego płotka róży, oczy pod złotymi rzęsami i długimi, sennymi jakby powiekami miały łagodny blask ciemnych szafirów i marzące spojrzenie wygnanego na ziemię anioła.

Gdy w ubożuchnej izdebce, bawialnią zwanej, stanęła, zdawać się mogło, że pomiędzy biało tynkowane i nieco szarzące jej ściany, pomiędzy stare, z żółtego drzewa sprzęty, na podłogę z grubych desek, pod sufit z ciężkich belek — anioł zleciał.

— Dzień dobry, mamusiu!

I pogarnęła się ku zgrubiałej, czerwonej, na grubą, szarą spódnicę opuszczonej ręce matczynej, którą jednak pani Teresa porywczym ruchem cofnęła.

— Nie całuj mnie w rękę! Nie na czułości cię zawołałam! Nie! Cóż się tak, ledwie wczoraj do domu powrócisz, za królową zaraz przebrała? Sukienka najlepsza ze wszystkich, jakie masz, dlatego pewnie sprawiona, abyś ją rankami po mokrej trawie ciągała. I skąd u ciebie te błyszczące srebrności się wzięły... ten pasek... te szpilki, coś ich sobie we włosy ponatykała... Ja ci ich nie dałam, sama pewno nie kupiłaś... aż oczy mnie od nich bolą! Skąd je wzięłaś?

Gdy pani Teresa mówić zaczynała, rysy młodej dziewczyny na mgnienie oka zmąciły się i rozedrgały, a oczy bystro błysnęły. Ale było to tylko mgnienie oka, po którym z anielską łagodnością w głosie i uśmiechu odpowiedziała:

— Ten pasek, moja mamciu, od Klemuni Konieckiej dostałam, a te szpilki darowała mi Tosia Awiczówna...

— Także żebraczka! — zawołała pani Teresa — jak Boga kocham, żebraczka! Od człowieka do człowieka chodzi i jałmużnę do worka zbiera... Nie wstyd ci te błyskotki od bogatszych panien przyjmować, aby cię za pozbawioną ambicji...

— To są, mamciu, przyjaciółki moje i mama sama...

Ale pani Teresa skończyć jej nie dała i czerwone ręce w pięści zaciskając mówiła, raczej krzyczała:

— Oj, jakbym ja ci tę fryzurę na głowie rozczesala, gładko w warkocz prosty zaplotła! Jakbym ja z ciebie te błyszczadła wyżebrane i tę sukienkę świąteczną, a u dołu już zaflądraną ściągnęła i w perkalową spódniczkę cię ubrawszy do roboty jakiej zasadziła! A prawdę powiedziawszy i z tymi przyjaciółkami twymi zrobiłabym to samo. Żalobę narodową noszą!... Oprócz czarnego i białego koloru żadnych nosić nie wolno, złotych rzeczy nosić nie wolno... ale za to te czarne i białe gałganki popatrzeć tylko jakie i zamiast złotych cacek, srebrne, stalowe... Także żaloba! Po ojczyźnie... po wolności... po tych, co na pewną prawie śmierć idą, żaloba... A ty panny światowe i z posagami naśladujesz... to, co one w salonach i parkach swoich, ty w tych izbach i pomiędzy tymi pokrzywami robisz... o tym tylko myślisz, żeby we wszystkim do nich być podobna i w stroju, i w minach i... w nicnierobieniu.

Aż zachłysnęła się z zapału, aż zachrypla od krzyku i na chwilę umilkła, a głos dziewczęcy, jednostajnie zawsze cichutki i delikatny, zaczął znowu:

— Mama sama...

Zatrzęsła się pani Teresa od dwu tych słów po raz już drugi usłyszanych. Snadź dotknęły w niej one jakiegoś punktu, który niepokoił, bolał...

— Co: ja sama? — krzyknęła. — Dlaczego powtarzasz ciągle: „Mama sama”? Co: ja sama?

— Mama sama chciała, abym ja do tych panien była podobna, kiedy mnie na edukację do państwa Awiczów oddała...

Prawda! To prawda! Raz jeden pani Teresa pozwoliła sobie unieść się próżnością, próżnością za to śliczne nad życie kochane dziecko swoje, zapragnęła dla niej upiększeń innych jeszcze niż te, którymi przyoblekła ją sama natura i gdy ta poczciwa Awiczowa powiedziała raz do niej: „Oddaj mi Michalinkę (jeszcze wtedy Michalinką ją wszyscy nazywali) na czas jakiś... z moją Tosią niech uczy się przy guwernantkach...” nie wytrzymała, oddała... a teraz ona mówi... „Mama sama...” I sprawiedliwie mówi...

Odwróciła się plecami do córki, twarzą do okna, w rękach, które ochłonęły już od upału i przybladły, miała końce muślinowej chustki i głęboko zmęczonym wzrokiem patrzyła w ogród. Poczucie sprawiedliwości usta jej zamknęło. A w oczach i po ustach Inki przemknął figlarny, może nawet złośliwy uśmieszek, lecz zniknął natychmiast, gdy z jednostajną zawsze słodyczą mówić zaczęła:

— Ja, moja mamciu, do innego niż tu otoczenia, do innego spędzania czasu przywykłam... ja mam w sobie takie potrzeby, takie gusta... trochę subtelniejsze, wyższe... I czyż to moja wina, że jestem biedną dziewczyną...

Głowa pani Teresy w sztywnej białej chuście tak nisko opadła, jakby ją kto z tyłu czaszki ku dołowi popchnął. To prawda. Cóż ona winna temu, że ojciec majątek roztrwonił, a matka pozwoliła jej nabrać tych potrzeb i gustów, które przy majątku to jeszcze jako tako... choć zawsze... ale bez majątku...

— Jezus Maria! A toż co? Co ty robisz, Inka? Ja gniewam się... daj mi pokój!

Bo Inka po nagłym umilknięciu matki, głowę jej na pierś opadającą ujrawszy, ruchem jak myśl szybkim ku niej poskoczyła i obu ramionami grubą kibić jej objąwszy, śliczną twarzyczkę swą do jej ramion, piersi, policzka przytulać i pocałunkami okrywać je zaczęła.

— Niech mamcia nie gniewa się, moja mamciu, niech się już mamcia na mnie nie gniewa! Szpilki te z włosów powyjmuję, pasek z siebie zdejmę... tylko sukni tej nie zdejmę, bo jak zbrudzi się, to Teleżukowa wypierze...

— Sama wypierzesz! — groźnym jeszcze tonem burknęła pani Teresa, ale rozgniewany przedtem wyraz jej twarzy topniał, zniknął.

— No, dobrze już, dobrze! Sama wypiorę! Alboż to raz prałam... sobie i nie sobie... Tylko już teraz niech zgoda będzie... moja mamciu złota, brylantowa, kochana...

Łaszczącymi się, miękkimi, kocimi ruchami przytulała się do matki, okręcała się dokoła niej, ze śliczną główką w tył wygiętą, swymi szafirowymi, marzącymi oczyma w twarz jej patrzyła...

Ach! Te jej oczy szafirowe, ze spojrzeniem marzącym, czułym, spod długich, jakby sennych, jakby rozkoszą wiecznie upojonych powiek... Oj, te jej tak niegdyś namiętne, bezpamiętnie kochane ojcowskie oczy! Co one jej przypominały! Jakie chwile, jakie złudy, jakie upojenia nigdy nie zapomniane one jej przypominały! Wydawało się w tej chwili pani Teresie, że ona to dziecko, to właśnie, najwięcej, najnamiętniej spomiedzy wszystkich swoich dzieci kocha i sama nie wiedziała jak, kiedy ramiona jej w szorstkich rękawach kaftana otoczyły ląbędziałą szyję córki, a usta pocałunkami osypywać zaczęły czoło alabastrowe i tę fryzurę jasnozłotą, którą przed chwilą tak bardzo pragnęła rozczesać i w prosty warkocz zapleść. Inka śmiała się, a pani Teresie ten cichutki, pieścizotliwy, wesoły śmiechek wpływał do serca strugą roztopionego miodu i w głowie obudzał myśl: „Niech już tam! Młodziutkie to takie i śliczne, łagodne, kochane!”

Wtem tuż za oknem ozwały się dwa cienkie głosiki dziecinne:

— Mamuchno! Mamciu! Mamusiu!

I jednocześnie młodzieńczy głos męski wołał:

— A cóż to za czułości i romanse mama tu z Inką wyprawia! Aż zazdrość bierze patrzac... No, czy ja nieprawdę czasem mówię, że mama Inkę najwięcej z nas wszystkich kocha!

Szeroki, błogi uśmiech rozwierał usta i całą twarz pani Teresy oblewał. Pierś jej zatrzęsła się od głośniego, szczęśliwego śmiechu.

— Nieprawda! — wołała. — Nieprawda, bo ja z wami wszystkimi jestem kobietą nieszczęśliwą, nie wiedząc nigdy, które z was więcej, a które mniej kocham... Raz zdaje się, że to, a drugi raz, że tamto, i na które patrzę, to zdaje się więcej kocham... Ot, wieczne kłopoty z wami!

Julek tymczasem dwie małe siostry z ziemi podniósł i na otwartym oknie posadził, a one wnet uczepiły się sukni matczynej, rozsypując po niej przyniesione z pola pęki traw i kwiatów. Szczebotały przy tym, o przechadzce ze starszym bratem odbytej opowiadając, a i on także coś tam o runi zbożowej, o trawach na łące już wysokich mówił. Blask słoneczny obejmował ich wszystkich płaszczem złotym, kwiaty polne pachniały, pod okapem dachu świegotało na zabój ptactwo, na ramieniu pani Teresy, iskrząc się stalowymi gwiazdami w złotych włosach, z wdziękiem opierała się śliczna główka Inki. A sama pani Teresa, kwiatami polnymi osypana, słonecznym blaskiem oblana, miała pozór istoty żywcem do nieba wziętej i w raję przebywającej. Jednak po chwili zaniepokoiła się nieco i oczyma zaczęła po ogrodzie czegoś szukać.

— Gdzieś tam w ogrodzie Janek i Olek...

Julek śmiechem wybuchnął:

— Ha, ha, ha! Mamci do pełnego romanu Janka i Olka już zabrakło!

Do sióstr malutkich zwrócił się:

— Niech robaczki polecą, chłopców wyszukają i tu przyprowadzą...

— A pewno! Pewno! — rajsko śmiała się pani Teresa. — Cóż to oni gorszego od was? Co gorszego?

Robaczki już z okna ku ziemi swoje nagie, długie, ogorzałe nożeta spuszczały, aby na wyszukanie braci lecieć, gdy z drugiej strony domu, na dziedzińcu, rozległ się turkot zajeżdżającej przed ganek bryczki. Inka drgnęła.

— Pan Gustaw przyjechał.

— Skąd wiesz, że to pan Gustaw?

— Wczoraj widziałam go...

Julek nagle śmiać się przestał.

— Tak, mam, to on być musi... wczoraj już spodziewałem się...

Odbiegł na spotkanie gościa, odbiegła, włosów swych dłońmi dotykając i do sąsiedniej izby wśliznęła się Inka, robaczki w zieleni ogrodu znikły, a pani Teresa przez parę minut sama jedna stała jeszcze u otwartego okna jak skamieniała, jak ze snu rajskiego obudzona do rzeczywistości strasznej... Przestrach spędził z jej twarzy gorące przez chwilę rumieńce; bólem skrzywiły się usta rajsko przed chwilą roześmiane.

Pan setnik przyjechał...

I zaraz po wyskoczeniu z bryczki, Julka pod ramię wzięwszy, do ogrodu z nim poszedł. Tam, cicho i żywo rozmawiając, chodzili po dzikich trawach i wydeptanych ścieżkach, aż zza krzaczystej zarośli, która ogród owocowy od warzywnego oddzielała, wychodząc ujrzeli naprzód Janka, który na ziemi siedząc zdawał się zatopiony w czytaniu rozwartej na kolanach książki, a potem Olka leżącego na trawie z twarzą ku niebu obróconą i tak śpiącego, że aż z lekka sobie pochrapywał. Gdy koło nich przechodzili, Janek przed gościem czapki uchylił i wnet znowu w czytaniu się zanurzył, a Olek nie tylko nie obudził się, ale głośniejsze jeszcze zachrapał. Minęli ich, Julek na chłopców uważnie popatrzył.

Brzegiem warzywnego ogrodu przez chwilę jeszcze szli, aż w inną stronę skręcili i pomiędzy drzewami znikli. Wtedy Olek porwał się z trawy i do starszego brata przyskoczył. Błękitne oczy zdawały się mu aż wyskakiwać z orbit, głos trząsł się.

— Słyszałeś, Janek? Słyszałeś? Już, ju... jutro wy... wy... wychodzą...

Ale Janek gniewał się czegoś na brata.

— Głupi jesteś z tym udawaniem śpiącego... czyż kto może uwierzyć, że o tej porze...

A Julek pewno domyślił się, że udajesz...

Krępy, pyzaty Olek wyprostował się jak rozgniewany kogut.

— No i co, jeżeli domyślił się? Czy to on mój pan i władca? A co usłyszałem za to, leżąc przy samych krzakach, jak oni za krzakami szli, to usłyszałem... A ty nic nie słyszałeś... nie wiesz...

— Czego nie wiem?

— A tego, dokąd pójda.

Zerwał się na równe nogi Janek.

— A tyś słyszał? Wiesz? Dokądże? Dokąd?

— Aha! A scyzoryk, ten nowy od Julka, oddasz mi? To powiem...

Janek do kieszeni sięgnął i bohaterskim ruchem przedmiot żądany bratu oddając, tonem wzgardliwej nieco wyższości rzekł:

— Masz i mów.

Wtedy Olek ku samemu uchu jego nachylony szepnął:

— Do lasów horeckich...

I w tejże chwili zakłopotał się czegoś czy zawstydził.

— Ale ten scyzoryk — zaczął — to weź go sobie, Janku, na powrót... ja tylko żartowałem... ja nie sprzedawczyk ani już taki chciwiec spod ciemnej gwiazdy...

Na płacz mu się prawie zebrało.

— Mazgaj jesteś i tyle — odparł Janek — ten scyzoryk i bez tego już bym ci dziś darował. My teraz inne scyzoryki mamy, prawda? Ot, pogadajmy, jak zrobić, żeby cel nasz osiągnąć. Cel nasz wielki i w tym tylko bieda, że my jesteśmy mali... Mali! — powtórzył i zaśmiał się z ironią.

— Ehe! — dodał Olek. — Można być małym, a odwagę mieć większą niż u niejednego z wielkich. Ale oni tego nigdy nie rozumieją...

— Oni nas nie rozumieją i nigdy zrozumieć nie będą mogli! My dla nich robaki... niewolniki...

Tak wyrzekał chłopak o szczupłej, smągłej, wrażliwej twarzy i wysmukłym, wybujałym wzroście. Sposępniał przy tym, schmurzył się, zmarszczyło mu się czoło pod gęstwiną krótko ostrzyżonych włosów. Olek blisko przy nim na trawie usiadł, ramię na szyję mu zarzucił i pocieszał:

— Ja z tobą! My razem... nie tylko bracia, ale i przyjaciele... nieprawdaż, Janek!

— Tak, tak, Olku! — ożywił się i rozpromienił Janek — na walkę, na czyn mężny, choćby na śmierć razem, ale nie na hańbę, nie na hultajskie życie i gnicie, wtedy gdy inni...

Pan Gustaw tymczasem po skończonej rozmowie z Julkiem witał na małym ganku domu panią Teresę i jej córkę. Zdziwiła się śliczna Inka na widok zamyślonej i milczącej twarzy sąsiada, zawsze wesołego, mównego i przez głowę jej zaraz przemknęła myśl: „Brzydko dziś uczesałam się i w tym kołnierzyku nie bardzo mi do twarzy, dlatego pewno taki obojętny...” Ale pani Teresa zupełnie innej przyczynie zmianę w panu Gustawie zaszła przypisać musiała, bo jakby nogi posłuszeństwa jej odmówiły, ciężko na ławce usiadła i daremnie drżenie głosu pohamować usiłując, gościa, aby koniom do stajni odejść pozwolił i do obiadu z nimi zasiadł, prosić zaczęła. Ale on bardzo czegoś roztargniony i do rozmowy nie usposobiony, brakiem czasu wymawiając się, już chciał ją żegnać.

— Także pośpiech! — wesołej swej rubasności próbując zawołała, lecz nie udało się rubasność ani wesołość i już tylko zgnicionym jakby głosem poprosiła, aby choć trochę, choć chwileczkę z nimi posiedział.

Chciała widocznie powiedzieć mu o czymś czy o coś go zapytać, a ona na zmęczone oczy jej i twarz przybladłą patrząc, posłusznie na ławce usiadł.

— Ot — zaczęła — chciałabym wiedzieć zdanie pana... bo Koniecty młodzi niedawno tu do Julka przyjeżdżali... obaj: Henryk i Artur i mówili o interwencji mocarstw, że będzie... że na pewno będzie... A pan jak o tym myśli? Bo widzi pan, ja kobieta prosta, pracująca, nic wcale o takich rzeczach... a jednak to jest rzeczą bardzo ważną ta interwencja... więc jak pan, panie Gustawie, o tym myśli?

Młodzieniec wysmukły, złotowłosy, z ładnym owalem twarzy niewieściobiałej i błękitnymi oczyma, dziwnie zamyślonymi dziś i razem rozgorzałymi, zmieszał się nieco i po chwili z wahaniem w głosie odpowiedział:

— Czy ja wiem, droga pani. Mówią niektórzy, że ta interwencja będzie... Młodzi Koniecty w to wierzą, a ojciec ich nie wierzy. I wszyscy tak samo: jedni wierzą, a drudzy nie wierzą. Jednak więcej jest wierzących niż niewierzących... to może i będzie... Ja tam nie wielki polityk i nie wódz, tylko żołnierz... Wodzowie powinni rzeczy takie do dna zgruntować i wszystko na pewno obliczyć... a my co? Na nas wołają: „Idźcie!” Serce i honor mówi nam: iść! Idziemy... i na... Bożą wolę!

Ręce pani Teresy kurczowo się zacisnęły.

— O, Boże! — zaszeptała i na młodego sąsiada zapatrzyła się z jakąś czci pełną pokorą. Znała go, od kiedy dzieckiem i pacholęciem był, widywała na balikach, na konikach ślicznych, u boku panienek najładniejszych... a teraz... taki młody — dwadzieścia cztery lata mu chyba, nie więcej — i bogaty... porzuca wszystko, idzie, a tak mu oczy goreją i czoło białe wznosi się mężnie, dumnie, gdy mówi: „Idziemy!” Szacunkiem głębokim, miłością pierś rozpięrającą zdjęta z ławki powstała i gestem błogosławiącym ramiona przed siebie wyciągając rzekła:

— Niechże wam Bóg błogosławi... niech błogosławi!

I miała w tej chwili pani Teresa „formę”, nabyła w tej chwili formy niewiasty męznej, która trwożę własną pod nogi wziąć, a rzeczom podniebieskim, wiecznym, wielkim błogosławić umie.

Pan Gustaw w obie błogosławiące ręce ją całował i razem żegnał się. Czasu nie miał, odjechać musiał. Ona cicho go zapytała:

— Kiedy?

— Jutro — równie cicho odpowiedział.

Słowa te dosłyszała Inka i gdy pan Gustaw rękę na pożegnanie jej podawał, anielsko w twarz mu patrząc wyszeptała:

— Konfederatkę pana sama własną ręką uszyłam... szafirowa z białym barankiem...

Uśmiechnął się i podziękował, ale obojętnie jakoś, z roztargnieniem. Anielskie spojrzenia tak pięknej jak Inka dziewczyny dziś władzy nad nim nie miały. Ona spostrzegła to i różowe usta jej wydeły się jak u zamartwionego dziecka, a przez głowę przewinęła się myśl: „Jacy oni teraz zrobili się nudni!... Nieznośni!...”

Pani Teresa zaś, jakby nic ważnego nie zaszło i zejść nie miało, już śpieszącym się, szerokim swym krokiem do domu wchodziła.

— Głodni musicie być... pora jeść obiad... pójdę pomóc Teleżukowej, aby prędzej było...

Zaledwie odeszła, Inka obróciła się ku Julkowi, który milcząc przy słupie ganku stał i wdzięcznie ku niemu pochylona wpatrywała się w niego z wyrazem takiego podziwu i uwielbienia, jakby z nieba tylko co zleciał, jakby nadprzyrodzonym zjawiskiem w tej chwili jej się wydawał, aż nagle ramiona ku niemu wyciągając zawołała:

— O, bohaterze mój! Bracie! Jakaż to duma, jakie szczęście mieć brata bohatera, brata, który...

Nie mogła dokończyć, bo on śmiejąc się, za podniesione ręce ją pochwycił i ku dołowi je skłaniając, trochę wesoło, a trochę z irytacją w głosie mówić zaczął:

— Nie pleć, Inka, nie deklamuj! Boże drogi! Toż ty i mnie już nawet kokietować zamierzasz! Dla wprawy zapewne, co? Ale daj pokój! Teraz na takie rzeczy nie pora! Ot, lepiej pomówmy z sobą poważnie... Mam z tobą o czymś poważnym do pomówienia... chodź!

Pociągnął ją ku ławce i gdy obok siebie usiedli, z głową ku jej głowie pochyloną mówić zaczął:

— Słuchaj, Ineczko, to, co ci teraz powiem, ważne jest jak obowiązek najświętszy, jak sumienie, jak boskie i ludzkie prawo. Kiedy... odejdę, mama będzie bardzo niespokojna, bardzo smutna... Razem ze mną odejdzie od niej najstarsze jej dziecko, już zupełnie dojrzałe, które już przyjacielem jej być mogło, pomocnikiem, a w potrzebie opiekować się nią i ją bronić... po mnie ty przy niej zostaniesz... najstarsza... Moja Inko, przejmij się ty tą myślą, że pociechą, pomocą, a w razie... nieszczęścia jakiego... wsparciem i opieką jej być powinnaś...

Tu Inka mowę mu przerwała.

— O, Julku! Ja kochać umiem, ja kochać pragnę, ja poświęcenie uwielbiam i u nóg mamy leżeć będę...

— Znowu deklamujesz! Któż tu o poświęceniu i o leżeniu u nóg mówi. To twój obowiązek, Inko. Bo pomyśl tylko, czym mama dla nas była... jak kochała nas, jak za nami przepadała... Gdyby nie jej praca, zabiegi, starania, bylibyśmy w nędzy i w ciemnocie pogrążeni... Ona to wyżywiła nas i wykształciła... Teraz, Inko, w tym ciężkim dla niej przejściu ty jej choć w części wypluć się z długu wdzięczności. Nie o leżenie u nóg jej idzie, ale nie martw jej niczym, pomagaj jej, młodszymi dziećmi zajmij się... strzeż, aby jej nie martwiły... Szczególniej Janka i Olka... miej na oku...

W sieni za otwartymi drzwiami ozwało się wołanie pani Teresy:

— Dzieci! Dzieci! Na obiad chodźcie!

Ale teraz Inka, przerywając mowę brata, z twarzą smutnie spuszczoną, mówiła:

— Mój Julku! Ty nie rozumiesz mnie, ty mnie nigdy zrozumieć nie chciałeś... Ja przecież niczym mamy nie martwię... Ja kiedy jestem w domu, to wszystko, co trzeba, robię, choć te wieczne zachody i kłopoty, całe to życie w Leszczynce... Czyż ty, Julku, nie rozumiesz tego? Moje myśli, moje marzenia... Czyż ty tego nie rozumiesz? Mnie trzeba innego życia...

— Ależ rozumiem, rozumiem — przerwał Julek i wstając z ławki mówił jeszcze:

— Po deklamacji nastąpiła deklinacja zaimka osobowego: ja, mnie, dla mnie. Ej! Niewysoko, Inko, i niedaleko lecą myśli i marzenia twoje. Nic tu mówienie twoje nie pomoże, bo serduszek twoje uszek nie ma! Chodźmy lepiej na obiad!

Wkrótce po obiedzie Julek braci młodszych zawołał, aby z nim na przechadzkę w pole poszli. Chłopcom, gdy usłyszeli to wołanie, aż oczy zabłyszczały i Olek nagle jak piwonia zaczerwieniony do Janka szepnął:

— Może nam co ważnego powie, może na koniec przekonał się, że my nie... bębnym i przynajmniej wiedzieć o wszystkim powinniśmy.

A Janek z przybladłą nieco twarzą wyprostował się i odpowiedział:

— Może powie, abym z nim szedł...

Olek zatrzęsł się cały.

— A ja? A ja? A ja?

Starszy z uczuciem wyższości zrazu na młodszego spojrzął, ale potem coś tkliwego zaświeciło mu w oczach i ruchem opiekuńczym, niemal ojcowskim dłoń swą szczupłą i nerwową na głowie Olka położył.

— Bądź spokojny, Olek, ja cię nie opuszczę... ja jemu powiem, że albo my obaj z nim, albo... bez niego!

Olek uczynił z ramion dwa łuki nad głową rozwarł i wysoko nad ziemię dwa razy podskoczył.

Zza węgła domu Julek zawołał:

— Czemuż nie idziecie, chłopcy? Chodźcie prędzej!

Poszli drogą polną ku wiosce szarzejącej w oddali, za wioskę daleko...

Po dwóch albo i trzech godzinach chłopcy z długiej przechadzki powracali, ale bez starszego brata. Niedaleko już dworku spotkali się z Teleżukiem i Julek zawróciwszy się z nim ku lasowi poszedł, braciom mówiąc, aby bez niego szli do domu.

Zamyśleni byli obaj i wydawali się bardzo czymś zmartwieni. Po odejściu Julka nic zrazu do siebie nie mówili, tylko Janek zniecierpliwionym ruchem nogi co moment kamyczki z drogi zrzucił, a Olek z policzkami, jak do rozdmuchiwania samowara wydętymi, na podobieństwo miecha głośno sapał, czasem wdychał.

Po chwili starszy ze zniecierpliwieniem w głosie sarknął:

— Czego tak sapiesz i wdychasz... aż miech kowalski w oczach staje! Nic tu wdychanie nie pomoże... zastanowić się trzeba, pomyśleć...

— Aha! — jęknął młodszy, a starszy z zamyśleniem mówił dalej:

— Bo nie można powiedzieć, aby Julek zupełnie słuszności nie miał... Mama jest bardzo ząną kobietą i ciężko na nas pracowała i pracuje. Dla takich matek jak ona dzieci mają obowiązki, to prawda, temu zupełnie zaprzeczyć nie można... co?

W odpowiedzi Olek zaszeptał:

— Ja mamę bardzo kocham...

A Janek z powagą wielką zaczął znowu:

— Przypuśćmy, że o kochanie tu nie idzie... i ja do mamy przywiązany jestem... bardzo... ale tu dwie miłości ze sobą walczą... rozumiesz? Przecie i Julek mamę kocha, a jednak... widać w nim inna miłość tę zwyciężyła, a w takim razie dłączegóż by i w nas zwyciężyć nie miała... Ale tu, widzisz, idea obowiązku zachodzi... zrozumiej to... i-de-a, rzecz najważniejsza w świecie. Julek przemawiał do mnie w imię i-de-i, obowiązku, tego obowiązku, który nam rozkazuje...

— Ehe! — triumfująco jakoś zawołał Olek — a dla ojczyzny to obowiązku nie ma? A? Jeżeli tu miłość i tam miłość, to i z obowiązkiem tak samo... tu obowiązek i tam obowiązek... A z czegośmy powstałi — prawil dalej, krępą postać swą prostując i pyzając, rozumienioną twarz wysoko podnosząc — jeżeli nie z tej ziemi? Co nas ogrzewało, jeżeli nie to słońce? Skąd wszystkie uczucia i myśli nasze, jeżeli nie od tych przodków, którzy... no, ty sam wiesz, co to ojczyzna! Wszystko, co było i co jest... z czego nasze ciało i nasza dusza... ty sam wiesz... A my niby to obowiązków dla niej nie mamy! Śmiech powiedzieć! Jeżeli pomiędzy dwiema miłościami okropny los nas postawił, to tak samo i między dwoma obowiązkami... A? Czy nie tak?

— Tak — po chwili zastanowienia zgodził się Janek — i ty to bardzo dobrze wyrozumowałaś... Nawet nie spodziewałem się... Ale tym gorzej dla nas. Jesteśmy postawieni w położeniu — tragicznym!

Na bladej, nerwowej twarzy jego i w piwnych oczach rozlał się wyraz cierpienia. Olek, tak wymowny przed chwilą, zamilkł i smutnie zwiesił głowę. Z chmury nabrzmiałej błyskawicami i gromami, która nad krajem całym stała, oderwał się ciemny obłok, spłynął na te głowy dziecinne, wkraśl się pod ich czaszki wichrem szumiącym, ogniem błyskawicowym...

Przed samą już bramą dworku Olek podniósł głowę i rzekł:

— Brutus dwóch rodzonych synów zabił...

Janek pomyślał chwilę.

— To prawda; ale synowie Brutusa zdrajcami ojczyzny byli, a mama...
 Olek dokończyć mu nie dał.

— I Timeleon zabił rodzzonego brata...

— Brat Timeleona tyranem był, a mama... Spróbujże zabić mamę! czy mógłbyś... a?
 Olkiem jakby dreszcze lodowate od stóp do głowy wstrząsnęły i aż krzyknął:

— Co ty wygadujesz, Janek. Wiesz, ty czasem bywasz okropny...

— Ano widzisz! Na nic się nam nie zdadzą Brutusy i Timeleony. Położenie jest zupełnie inne i na świecie każdy za siebie myśleć musi. Musimy, Olku, wiele zastanawiać się i myśleć, Julkowi całkowicie słuszności odmówić nie można...

— A dlaczegoż on sam... — zaszeptał jeszcze uparty Olek, ale zobaczyli idącą naprzeciw nich matkę i tak jak nigdy przedtem pogarnęli się ku niej śpiesznie i pieścizotliwie. Nawet Janek, do pieścizot zazwyczaj nieskłonny, z powagą, opiekuńczym jakby gestem ramieniem ją otoczył. Ale ona wyraz twarzy miała roztargniony i oczy głęboko zmaczone. Z roztargnieniem zapytała:

— A gdzie Julek?

Powiedzieli, że z Teleżukiem ku lasowi poszedł.

— No, to idźcie do domu, a ja na spotkanie Julka pójdę...

Wiedziała, dlaczego z Teleżukiem poszedł i wiedziała, że jeszcze do domu powróci, ale serce jej paliła taka żałość i tęsknota, że w domu ani dokoła domu miejsca sobie znaleźć nie mogła i teraz na spotkanie syna przez pola jak wichler pognęła, aby go choć o ćwierć godziny prędzej zobaczyć... przez tę ćwierć godziny jeszcze na niego popatrzeć...

Powrócili razem, kiedy już dobrze po zachodzie słońca było i pani Teresa zaraz do Teleżukowej powiedziała:

— Daj dzieciom wieszczę i maleńkie niech po wieszczę zaraz idą spać. My z Julkiem...

Nie dokończywszy poszła z synem do swego pokoju, którego drzwi z wewnątrz na zasuwki pozamykała.

I nikt nie widział ani słyszał, co oni tam z sobą przez te ostatnie godziny mówili, jak się żegnali...

Inka na małym ganku siedziała, z twarzą na dłoń opuszczoną, z poczuciem krzywdy ponoszonej w sercu. Dotąd wszystko, co się wkoło niej działo, zajmowało ją, cieszyło, nawet wyobraźnię jej rozpalalo, tak że otaczającym wydawać się mogło i ona sama najmocniej przekonana była, że uczucia powszechnie są również i jej uczuciami.

Przy zbiorowym dokonywaniu przygotowań rozmaitych, a w licznym gronie równieśnych lub nieco zaledwie starszych od niej kobiet bawiła się wybornie; ruch gorączkowy, który w okolicy zapanował, stwarzał liczne sposobności do zebrań gwarnych, do rozmów ożywionych, wśród których jeżeli nie czym innym, to pięknoscią swoją jaśniała i pociągała. Ale od pewnego czasu zaczęła czuć, że w oczach ludzkich przygasa, maleje, że młodzi panowie zajmować się nią przestają, że w ogóle coś w powietrzu otaczającym ogromnie ją przerasta, gasi, rzuca jakiś cień czy tłumik na jej dziwnie bujne i niecierpliwe nadzieje, pragnienia. I oto powróciła do Leszczynki i ani wie, kiedy znowu wyjechać stąd będzie mogła... a tu zawsze nie raj, o! nie! Lecz teraz, gdy Julek odejdzie i takie zmartwienie w domu zapanuje... I za co to wszystko na nią spada? Dlaczego to właśnie jej młodość ma być przytłoczona, zatruta tymi wszystkimi powagami, obawami, utrapieniami...

Drzwi domu na ganek prowadzące ze stukiem się otworzyły i wypadła z nich pani Teresa, a za nią wyszedł Julek, który zatrzymał się przed siostrą, po rękę jej sięgnął i tak mocno ją ścisnął, że aż trochę zabolalo. Głębokim przy tym wejrzeniem w twarz jej patrzył, ale ani jednego słowa nie wyrzekłszy zbiegł z ganku dopędzając matkę, która już przez dziedziniec gnała ku stajni, przed którą Teleżuk konia do małego wózka zaprzęgał. Gwiazdy na niebie świeciły...

Inka powoli do wnętrza domu weszła. Jakże inaczej, o! jakże inaczej pożegnanie z bratem sobie wyobrażała! Gdy przedtem na myśl jej przychodziło, że ono kiedyś nastąpi, nie wiedzieć dlaczego przed wyobraźnią jej stawał rycerz z pękiem piór nad głową, który siostrę do piersi przyciskał, mówiąc do niej o jakichś rzeczach wzniosłych, poetycznych.

...A tu bez słowa, z tym tylko uściśnieniem ręki, takim silnym, że aż pierścionek, który od Tosi Awiczówny w prezencie dostała, boląco jej w palec wpił się... I ten jednokonny, brzydki wózek z Teleżukiem w baraniej czapie na głowie...

Wózek z Teleżukiem w baraniej czapie na głowie za bramą już turkotał; pani Teresa od stajni do domu z powrotem gnała. W połowie dziedzińca nagle stanęła, uczuciem, które znała już nieco, ale któremu poddać się nie chciała, ogarnięta. Było to takie uczucie, jakby siła jakaś niewidzialna porywała ją i usiłowała o ziemię cisnąć. Zrywało się w niej pragnienie rzucenia się na ziemię, uderzenia o nią czołem, wyszarpania z niej rękami garści piasku czy trawy. Doświadczała już była tego razy parę niegdyś, niegdyś w dawnych swoich bólach serdecznych; potem, gdy ze śmiercią tego, który je sprawiał, bóle serdeczne przeminęły i to ją opuściło, a teraz znowu... Ach! Z ramionami rozkrzyżowanymi na ziemię paść i czołem o nią bić... Ale nie! Nie uczyni tego! Mężna musi być i rozsądna... Jeszcze przecież nic takiego... jeszcze Julek żywy i zdrowy kędyś tam do Działkowicz jedzie... jeszcze może Bóg tarczą obrony swej... Ach, tak! padnie na ziemię i czołem o ziemię uderzy, ale... przed Bogiem, przed Chrystusem na krzyżu...

Znów bieć zaczęła, do domu wbiegła, parę izb przebiegła i w swojej izdebce przed zawieszonym na ścianie krucyfiksem starym, który pamiątką po dziadku jej był, zrazu na klęczki, a potem z ramionami rozkrzyżowanymi jak długa na ziemię upadła.

Gwiazdy na niebie świeciły, kilka złotych oczu przez małe okno patrzyło na ciemną postać kobiecą rozciągniętą na ziemi przed bielejącą na czarnym krzyżu postacią Chrystusa. W głębokim zmroku izdebki rozchodził się szmer modlitwy półgłosnej, żarliwej, jak powiewami wichru westchnieniami przerywanej, aż nagle umilkł.

Pani Teresa przestała się modlić, podniosła znad ziemi głowę, uklękła, podniosła się z klęczek, powstała i szybko jak wiatr z izdebki wypadła. Gdy mówiła i wołała: „Chryste, zmiłuj się!”, uczuła nagle ogromne, ogromne pragnienie ujrzenia innych swoich dzieci. Tamten odjechał, o, Chryste! może na zawsze! Ale te inne pozostały przy niej i ona zobaczyć je musi, zaraz, natychmiast, spojrzeć na nie, popatrzeć na nie musi. Zdawało się jej, że umrze albo nie wiedzieć, co się z nią stanie, jeżeli zaraz, natychmiast ich nie ujrzy, nie przekona się, że są zdrowi i cali, że są przy niej, że je posiada...

Wypadła z izdebki swojej wprost do tej, w której zazwyczaj sypiali i uczyli się Janek i Olek.

— A toż co? — krzyknęła.

Małe łóżka chłopców, w których było im już od dość dawna trochę za krótko i trochę za ciasno, puste były. Pościelenie nawet z nich zniknęło... Pani Teresa w mgnieniu oka znalazła się w kuchni.

— Teleżukowa! — zawołała — gdzie są chłopcy? Dlaczego pościeli ich...

Chłopka w czerwonym, okrągłym czepku na głowie szyla przy świetle małej lampki; podniosła znad roboty okrągłą, dobroduszną twarz i wesoło odpowiedziała:

— Ot, powyciągali sobie sienniki do ogrodu i pod lipą spać się pokładli. Nocka ciepła; nic im to nie zaszkodzi.

Ależ naturalnie! Cóż im może zaszkodzić, że noc prześpią pod gwiazdzistym niebem, w przczystym powietrzu ogrodu? Alboż jedną noc tak przespałi? I zdaje się, że w ogrodzie tym nie ma jednego takiego drzewa, u którego stóp nie próbowaliby w ciągu dzieciństwa swego urządzać podobnych noclegów. Ale pani Teresa musiała ich zobaczyć, musiała koniecznie wieczoru tego na nich śpiących czy czuwających popatrzeć. Wysłała tedy do ogrodu i długo szukać nie potrzebowała. O kilkanaście kroków od domu ujrzała pośród trawy, na pościółkach szczupłych, u stóp lipy rozłożystej, szarzejące w nieruchomości ich postacie.

Zbliżyła się. Spali. Janek oddychał równo i cicho, Olek głośno sapał i z lekka pochrapał. Pochylona patrzyła na ich niewyraźnie rysujące się twarze, słuchała ich sennych oddechów, aż na zmącone i zmartwione dziś rysy wypływać począł uśmiech.

— Robaki moje! Brylanty! Skarby moje — głośnym szeptem wymówiła i powolnym gestem nad głowami chłopców znak krzyża uczyniwszy, spokojniejszym już krokiem ku domowi odeszła. W myśli jej przez odjazd Julka wzburzonej i rozwichrzonej porządkować się, rozwidniać znowu zaczęło! Cóż? Tamtego nie ma, ale te są... Są i będą. Robaki jeszcze małe. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć... Jeszcze pięć brylantów, pięć skarbów pozostało przy niej! Szła do izdebki, w której Inka wespół z małymi siostrami sypiała.

A gdy zamknęły się za nią drzwi domu, Janek i Olek żywym ruchem na swych pościółkach pod lipą usiedli.

— Słyszałeś? — zapytał starszy.

— Aha! Myślała, że śpimy, i mówiła: „Brylanty, skarby moje!” a potem...
 — Przeżegnała nas! Błogosławiła... Jednak, wiesz... Olek...
 I zamilkł.
 — Co, Janku?
 — Ej, nic! Tak sobie tylko pomyślałem...
 — Co pomyślałeś?
 — Ot, pomyślałem, co by to było jednak... gdyby mama tak nas wszystkich trzech...
 wszystkich trzech...
 — Co?
 — Straciła!
 Rozpaczonym ruchem Olek buchnął na swą pościółkę i zaszeptał:
 — Bieda! Bieda! Bieda! Pewno! Szkoda mamy!
 Ale bardzo wkrótce mruklwym tonem ozwał się:
 — Po co ma zaraz tracić? Czy to każdy, kto idzie na wojnę, musi być zabity?
 — Musi, nie musi, ale może — rozważał Janek.
 — A gdyby i tak — zrywając się znowu, zawołał Olek. — A pamiętasz, co Katarzyna Sobieska synom swoim powiedziała, gdy szli na wojnę? *Z tarczami albo na tarczach powracajcie!* Tak i my... *Z tarczami albo na tarczach do mamy powrócimy.*
 — Głupi jesteś! Żadnych tarcz teraz w wojskach nie ma, to jedno, a drugie, że gdyby i były, nikt by nas na nich mamie odnosić ani myślał... Ty wiecznie z tymi swymi historycznymi przykładami... Ot, myślmY lepiej, jak zrobić, co wybrać... co poświęcić...
 Teraz obaj pod lipą siedzieli i obaj czoła na dłonie spuścili. Myśleli, walczyli. Był w nich zaczerpnięty z otaczającej atmosfery żar uczuć egzaltowanych, błędziły we krwi spadkowe po przodkach instynkty rycerskie; majaczył na dnie dzieciom właściwy instynkt naśladowczy; zrywała się wyobraźnia ku przygodom, wrażeniom, czynom nadzwyczajnym. To z jednej strony, a z drugiej wyrzutem dokuczliwym gryzła serca słowami starszego brata z codziennej drzemki obudzona miłość dla matki, płakał w sercach litośny nad nią żal.

IV

Dawno już, przed dziesięciu czy jedenastu laty, kiedy najmłodszych „robaczków” pani Teresy na świecie jeszcze nie było, a najstarszy ledwie do szkół się wybierał, okolicę, w której znajdowała się Leszczynka, nawiedził gość okrutny. Po drogach przerywających pola, po zagonach pod wiosenną siejbę zaoranych, u ciemnych ścian lasów chodzić poczęła straszna pani, aż prawie do nieba wysoka, w szacie czarnej, z twarzą trupią, bielejącą wśród czarnych przesłon, które daleko za nią rozwiewały się jak olbrzymia chorągiew czy chusta. Kędy przeszła, powietrze stawało się zaprawione wonią trupów i zapalonych gromnic; którego z siedlisk ludzkich dotknęła swoją chustą czy chorągwią, tam pod strzechami czy dachami znajdowały się trupy, a w oknach chat czy domów błyskać poczynęły te światelka smutnie migocące, które dniem i nocą palą się przy ciałach zmarłych.

Na imię przeraźliwej tej pani było: Zaraza.

Od dość już dawna podobno chodziła po całym kraju, teraz tu przyszła i chorągwią czy chustą swą dworku w Leszczynce dotknęła.

A zdarzyło się, że wówczas właśnie w izbie do małego domku już przez panią Teresę przybudowanej mieszkał z rodziną tak samo jak u pani Teresy liczny chłop nazywający się Panas Teleżuk.

Parobkiem był i zarazem furmanem, i zarazem jeszcze najstarszym w gospodarstwie pomocnikiem byłego dzierżawcy folwarku; pani Teresa znalazła go tu do Leszczynki przybywając i zatrzymała. Gdyby nawet na mocy posiadanego wówczas prawa nie zatrzymała, pozostałby z woli własnej, bo w rodzinnej chacie jego aż trzech braci starszych z rodzinami licznymi siedziało i ta izba widna, obszerna, którą przybudowała dla niego pani Teresa... ta izba uszczęśliwiała go, wprost uszczęśliwiała, z tego powodu, że przestronnie i wesoło w niej było czworgu jego dzieciom.

Chłop to był wtedy młody, ale jak wszyscy chłopci polescy więcej milczący aniżeli mówny, w ruchach ociężały, w wejrzeniu posepny. Wysoki wzrost jego, silne bary, śniada cera twarzy uderzały siłą fizyczną zdrową i wielką, lecz dusza zdawała się mieć wzrost przez coś wypaczony, bo z jednej strony ukazywała się ognista i bujna, a z drugiej senna i leniwa. Tą stroną duszy Teleżukowej, która wyrosła najbujniej, zapalała najgoręcej, była

miłość rodzicielska. Z Nastką swoją ożenił się wbrew woli braci, którzy w prymy go dać, czyli z dziedziczną chaty i roli ożenić usiłowali, i żył z nią w zgodzie wielkiej, w częstych szeptaniach poufnych, we wspólnych nad wszystkim naradach, niemniej zdarzało się, że i do niej tak samo jak do innych ludzi całymi dniami słowa żadnego nie przemówił albo w złej chwili wykrzyczał ją i nawet pięść nie byle jaką na plecy jej opuścił.

Ale z dziećmi... O! To już było wcale co innego. To już był tajemniczy źródło jakiś, z którego lały się mu do serca, więc też i z twarzy, z oczu, z ruchów i mowy wytryskiwały różność, żywość, wesołość i często, dziwna w tym ciężkim, twardym chłopie, niewieścia czułość, skowroncza polotność i śpiewność.

Czworo ich miał; starsze już gęsi albo owce pasły, młodsze spódnicy matczynej jeszcze się trzymały; ale on wszystkie, i starsze, i młodsze, po każdym powrocie od roboty na rękach aż do niskiego sufitu podnosił i podrzucać musiał, a potem je sobie na kolanach, na ramionach sadzał i huśtał, i przyśpiewywał im, i gwarzył z nimi, a kiedy na kark, na grzbiet, na głowę niemal mu włożyły, śmiał się tak głośno, że śmiech ten aż cały dworek napęlał odgłosem serdecznej, jak pierś chłopska szerokiej radości. W niedzielę i święta za bramę dworku je wyprowadzał i na jakimś bliskim kawałku pastwiska albo ugoru można go było zobaczyć, jak leżał na wznak, wszystkie je na sobie mając, huśtał je na ramionach i nogach i gadał do nich, a czasem zrywał się i w poskokach, od których ziemia trząść się zdawała, uganiać się z nimi poczynał. Potem, kiedy oddalał się od dzieci albo kiedy one się oddalały, wracały mu znowu do ciała ruchy leniwe czy senliwe, do warg milczenie chętne, a do roztropnych oczu obojętność lub też posępność wejrzenia.

Pani Teresa od pierwszego poznania się z nim polubiła go za tę niezwykłą miłość ojcowską, a on polubił ją, jak się zdawało, od tej chwili, gdy dała mu na mieszkanie zamiast uprzedniej, ciasnej i ciemnej, izbę nową, przestronną i jasną. Hulaliż bo po niej, hulały dzieciaki jego, stając się coraz tłustsze i rumiańsze, a i Nastka w pałacu takim żyjąc pokraśniała, powagi jakby a razem i wesołości nabrała, tak że częściej niż dawniej począł za nią, gdy przez izbę przechodziła, oczami wodzić. Szczęśliwa zdawała się być ta rodzina chłopska, szczęśliwsza niż ta, która obok niej nie w jednej, ale w kilku izbach mieszkała, i rozumiał to dobrze Teleżuk. Ot, o pani Teresie mawiał do żony: „Pani ona niby to, a nieszczęśliwa. *Swego* tak jak nie widzi nigdy, a na *detyny* swoje pracuje, *boruje*”.

Mogło się zdawać, że jak ona jego za szczególną miłość ojcowską polubiła, tak on ją za jej nieszczęście i za to, że na *detyny* swoje *borowała*, uszanował i także polubił.

Wtem straszna pani z trupią twarzą aż do nieba sięgającą nadeszła i dotknęła końcem rozwianej chusty swej domu w Leszczynce, a właściwie tej jego izby, którą Teleżuk z rodziną zamieszkiwał. Napęlała się wówczas izba ta jękami, krzykami, zsiniałymi i wijącymi się w bólach ciałami i jeden tylko ojciec rodziny na nogach pozostał, osowiały, zmartwiały, bezradny. Jak w kamień obrócony, dnie i noce w najciemniejszym kącie izby na ławie przesiadywał, szeroko rozwartymi oczyma na krzątanie się pani Teresy około chorych patrzył. Bo zakrzętała się ona około nich z energią sobie właściwą, z nie dającą się niczym zrazić litością gorącą i czynną. O lekarza w zakęcie tym było tak trudno, że prawie niepodobna, pielęgniarek jakichkolwiek sama nazwa była tam nieznaną. Ale pani Teresa miała jakąś książczynę w wypadkach podobnych doradcą, jakąś szafkę z flaszeczkami i przyrządami leczniczymi, wiedziała więc, co czynić, i czyniła niemordowanie, odważnie. Odwagi potrzebowała więcej jeszcze niż energii, bo i roztropność własna, i jakaś bawiąca wtedy u niej stara krewna ostrzegały ją przed niebezpieczeństwem przeniesienia trującego oddechu strasznej pani z izby Teleżukowej do piersi własnych dzieci. Ale roztropności swojej i przestrogom starej krewnej po krótkim namyśle stanowczej odpowiedzi udzieliła:

— Także paskudztwo! Żebym ja dla swego strachu ludzi w nieszczęściu takim nie ratowała!

A strach w niej jednak był, o, by! I ona jedna tylko wiedziała, jakich śmiertelnych dreszczów pełny. Więc też dzieci swoje na wszystkie strony okadzała, ocierała, zapobiegawczymi środkami poila, starą krewną zaklinała, aby je przed wszystkim, co za szkodliwe uchodziło, strzegła i znowu do tamtych wracała, godzinami całymi zsiniała i pokurczone ciała rozcierając, rozgrzewając, lecznicze płyny warząc i w usta spieczone wlewając.

Przyszło do tego, że samemu Teleżukowi, który przecież zdrów był, przemocą niemal, z krzykiem i gniewem pożywienie wmawiając prawie wkładać do ust musiała, bo u koń-

ca tych dni straszliwych, gdy dwoje dzieci jego już w trumienkach z izby wyniesiono, skamieniał on do ostatka, mowę jakby utracił i oczy miał jak sowa we dnie, czerwone i nieprzytomne.

Potem ucichło wszystko; Teleżukowie w swojej widnej, obszernej izbie we dwoje już tylko pozostali i raz, gdy pani Teresa krzątała się dokoła łóżeczek Julka i Inki, których welon strasznej pani z lekka dotknął, do pokoiku, w którym się znajdowała, weszli. Świątecznie ubrani byli oboje i wyrazy twarzy mieli świąteczne, uroczyste. Spojrzawszy na nich pani Teresa pomyślała:

„Masz tobie! Przyszli pewnie prosić, abym ich od służby uwolniła. Nie mogą pewno wytrzymać tu, gdzie ich nieszczęście takie...”

A oni zbliżyli się, przed nią stanęli i oboje ruchem jednostajnym pokłonili się jej nisko, aż do stóp, tak że prawie ziemi czołami dotknęli.

— Także pokłony! — zawołała. — Wiele już razy Teleżukowi mówiłam, aby nigdy...

Ale on, jakby słów jej nie słysząc, powoli, zgniecionym głosem mówić zaczął:

— My przyszli podziękować wam, pani, że nasze dzieci nie bez ratunku poumierali i że Nastka przy życiu została...

— Co tam! Co tam!... — z oczyma, które łzami nabiegły, przerwać chciała, ale on jakby znowu jej nie słyszał.

— My przyszli powiedzieć, że my przy was do śmierci... jak psy ostaniem i dobra waszego, dzieci waszych... pani...

Nie dokończył, bo w piersi jęknęło mu coś straszliwie i głos w szlochu się załamał, a Nastka to już płaczem aż ryknęła i chciała znowu do stóp pani Teresy czołem przypaść, ale ona wpół ją schwyciła i w policzki wycalowała, a potem jego głowę obu rękami do siebie przyciągnęła i — także wycalowała.

— Biednieńkie wy moje! Kochanieńkie! Nieszczęśliwe! Dzieci tak potracić! Czy ja nie rozumiem...

O, jak rozumiała! Łzy jej zmieszały się ze łzami Nastki, bo on, Teleżuk, nie płakał, tylko na twarzy postarzałej miał już tę maskę z zastygłego jakby przerażenia i cierpienia sklejoną, która pozostać miała na niej na zawsze.

Przed odejściem rzekł jeszcze:

— My z wami, pani, do śmierci... i co tylko będzie trzeba... co tylko *skazete*, zrobim...

Dotrzymali obietnicy. Zostali, wszystko, co trzeba było, robili, pomocnikami jej, wyręczycielami, doradcami stali się, razem z nią dzieci jej hodowali. Byli całą jej służbą, innej nie miała i nie potrzebowała, a kto wie, czy pod ciężarem trosk swoich i twardej swej pracy nie ugięłaby się nieraz, gdyby nie oni... Dusza chłopska, tak samo jak ze strony miłości rodzicielskiej, ukazała się była w tym wypadku bujnie i pięknie wyrosłą ze strony wdzięczności... Cóż dziwnego, że pani Teresa w kilka dni po odjeździe Julka przyszła wieczorem do kuchni i naprzeciw Teleżuków za stołem siedzących na ławie usiadła. Nastka, jak zwykle o tej porze bywało, szyła, a on coś z drewna piłką i młotkiem majstrował. Widząc ją wchodzącą zapytał:

— A *szczo*, pani? Może potrzeba czego...

— Niczego mi nie potrzeba, niczego ja od was nie chcę — cicho jakoś odrzekła pani Teresa i dodała: — Przyszłam pogadać z wami...

Zmieniła się nieco przez te dni parę, przymizerniała na twarzy i spowolniała w ruchach.

— Męka taka — zaczęła — niepokój taki, miejsca sobie w domu dobrać nie mogę, roboty żadnej do końca zrobić nie mogę... Nic nie wiem, co się tam dzieje... muszę jutro do pana Orszaka pojechać, on pewno wie, może już bitwa jaka była... pojedziemy jutro, Teleżuk, do pana Orszaka...

— *Dobre*, pani, pojedziem — odpowiedział chłop i głowę znad roboty podniósłszy, po raz pierwszy, odkąd przyszła, na nią popatrzył, a popatrzawszy zaczął:

— Oj, biedy wy sobie narobiliście, pani, biedy! I *na szczo heto*? Wyrósł wam synek jak ten dąbek gładzusięńki, jak ten młodzieńczyk na obrazie w cerkwi malowany, a wy jego posłali tam, gdzie śmierć i zgubienie... Nie przeszkodzili, nie zabronili...

Dziw to był, że Teleżuk mówił tak wiele i snadź przedmiot rozmowy bardzo już dopiekał, skoro do takiego rozgadania się go skłonił. I mówiłby dłużej jeszcze, gdyby mu

Nastka nagle bardzo i z ferworem w mowę nie wpadła:

— A toż! — rękę z igłą i nicią wysoko podnosząc zawołała. — Już my z Panasem ciągle o tym gadamy i gadamy... Co wam, pani, stało się? Toż wy dzieci swoje zawsze lubili, toż wy za nimi przepadali i świata nie widzieli, a teraz pozwolili, nie przeszkodzili synowi na zgubę iść! Takiego gołąbka miłego, takiego *mołojczyka krasnego* wy z chaty swojej tam, gdzie strzelają i rąbią, wygnali...

I gadała, gadała w ferwor coraz większy wpadając, aż robotę z kolan na ziemię zrzuciła, aż porwała się z ławy, czegoś do pieca poleciała i znowu na ławę wróciła, ramionami rozmachując, lamentując, pani Teresie za zgubienie syna wyrzuty czyniąc. Znać było, że ona tego *bohuczyka miłego*, tego *mołojczyka krasnego* nie na żarty sama lubiła. I nie dziw! Współ z matką hodowała go, strzegła, gdy był mały, a gdy dorósł, przyjazdami jego ze szkół do domu cieszyła się, nigdy inaczej jak zdrobniałym imieniem go nie nazywając i z przekomarzania się z nią wesołego chłopca, z figłów, które jej płałał, do rozpuku się śmiejąc. Teraz za to płakała... Łzy jak groch sypały się na twarz jej okrągłą, rumianą, na osłaniającą pierś szarą koszulę.

Pani Teresa wyrzutów czynionych jej przez czas jakiś w cierpliwym milczeniu słuchała, ale widać było, że siliła się na tę cierpliwość. I długo wytrzymać nie mogła. Musiała przecież tym ludziom dobrym, ale ciemnym, tym pomocnikom i przyjaciółom swoim kochanym, ale nic nie rozumiejącym, wytłumaczyć, wyjaśnić. O zgubę syna, o zgubę Julka ją obwiniali! Mogłaż pod ciężarem tego obwinienia śmiało w oczy im patrzeć? Aż w stopy i w gardło piec ją zaczęło. Zerwała się z ławy, krzyknęła:

— Słuchajże, Nastka! Umilknijże! Także rozgadała się! Wy tego nie rozumiecie! Wy o tym nic nie wiecie! Posłuchajcież! Wytłumaczę, opowiem!

Nastka umilkła i uszu nadstawiła. Nie dlatego umilkła, aby krzyku pani Teresy złąkła się, ale dlatego, że ciekawość ją zdjęła. Z natury była wszelkich opowiadań i nowin, wszystkiego, co tylko mówione być mogło, ciekawa bardzo. Ale i Teleżuk, choć z pozoru niczego nieciekawym, wzrok w twarzy pani Teresy utkwiał, a ona, widząc ich uspokojonych i słuchających, mówić zaczęła o początkach, przyczynach i celach wszystkiego, co się w tej chwili tu i na przestrzeni całego kraju stawało i działo. Z początku niełatwo to jej szło. Od umiejętności jakiegokolwiek nauczania ludzi i wykładania im przedmiotów abstrakcyjnych o sto mil była odległa, a do długich zastanawiań się nad przedmiotami tymi i dobierania dla nich odpowiednich słów i wiązań ogromnie nienawykła.

Jednak z zasobu nauk dziecinnych, z licznych zasłyszzeń, z czytań częstych niegdyś, a potem choć rzadkich, lecz zdarzających się kiedy niekiedy, wydobyć mogła wiadomości ilość znaczną, a z serca, przez które razem z krwią przepływały uczucia pewnego rzędu, polały się jej i na usta wybiegać zaczęły coraz obfitsze, często dla niej samej niespodziewane słowa. Gdy tylko zaczęła mówić, od mowy własnej zaczęła płonąć. Królowie, rycerze, bohaterzy, poeci, potęga, świetność, sława; a potem klęski, upadki, niedole, krzywdy srogie, deptanie ludzi przez ludzi, gwałcenie praw boskich i ludzkich — wszystko, co niosła z sobą niewola, wszystko, czym nęci, zachwyca, jaśnieje wolność... I mógłże tu być wybór? I mógłż być wahanie? I mógłż syna odwracać od swoich własnych świętości? I mógłż doradzać mu podłość, sobkostwo, tchórzostwo? Nie! Tak jak się stało, stać się musiało — i basta! Nie jest wyrodną matką, nikt od Teleżukowej lepiej o tym nie wie, ale nie może też być wyrodną córką, a jest przecież córką ojczyzny tak jak wszyscy, którzy z łona jej powstali i na nim żyją, są jej dziećmi... I tak dalej, i tak dalej mówiła, prawiała, opowiadała, przekonywała, w zapale czasem zrywała się z ławki i w postaci stojącej ramiona rozkładała szeroko albo w górę je podnosiła, albo ze splecionymi rękoma przed siebie wyciągała. Wtedy na ścianie kuchenki małą lampą słabo oświetlonej powstawał za nią cień jej chwiejący się czarny i patetyczne gesty jej powtarzał.

Aż z twarzą w ogniu, od mówienia i zapалу zadyszana, umilkła. Ze wzrokiem zniurcho miałym i rozwartymi ustami nagle jakoś umilkła. Rozpłomienione jej oczy długo nie widziały dokoła nic, nic, w wewnętrzne wizje swoje zapatrzone, aż nagle zabaczyły, że Nastka spała. Na przedramiona skrzyżowane na stole głowę spuściła i usnęła. Od jak dawna spała, nie wiadomo, lecz nie od paru minut zapewne, bo sen jej wydawał się głęboki...

Teleżuk nie spał, ale czy długiej mowy pani Teresy słuchał, czy nie słuchał, odgadnąć byłoby niepodobna, tak nie zmienione w swej zwykłej nieruchomości, tak żadnym błyskiem w pośpiechu swej nie rozjaśnione były rysy jego twarzy. Zmęczony tylko wydawał

się, bo przepracował dzień cały i pora była późna. Ciężkim też ruchem powstał z ławy i ociężał rękę ku włosom niosąc rzekł:

— Spać pora, pani! A toż i świtać niezadługo zacznie!

Żonę za ramię potrząsnął.

— Nastka! Spać się kładnij!

I tylko gdy ku drzwiom izby swojej z pochyloną twarzą zwrócił się, na krótką, na króciutką jak sekunda chwilę w sennym oku jego błysnęła ironia.

Z tej strony, ze strony, o której pani Teresa tak długo dziś prawiała, dusza chłopska posiadała wzrost stłumiony, była ślepa, głucha, niema...

Pani Teresa stała chwilę jeszcze pośrodku kuchni, z czołem nagle w kilka fałd zmarszczonym i wzrokiem wbitym w ziemię, a za nią stał na ścianie czarny cień jej i z pochyloną także głową w ziemię patrzył.

Wzięła potem lampkę ze stołu i przyświecając nią sobie do sypialni córek poszła. Małeńkie spały głęboko w białych pościolkach swych, różowe i spokojne, Inka, na wpół rozebrana, w głębi izdebki wąskiej i długiej przed lusterkiem włosy sobie na loki zawijała, pasemka ich dokoła szmatek papieru okręcając.

Mnóstwo już białych papierowych strąków sterczało nad połową jej głowy, gdy z drugiej połowy na obnażone, alabastrowo białe ramię złota fala spływała swobodnie i obficie. Była tak w zajęciu swym pogrążona, że wejścia matki nie spostrzegła, zaś pani Teresa w progu ze swoją lampką stojąc i na nią patrząc z politowaniem drwiącym trochę, a trochę żalonym, głową wstrząsała.

— Także robota! — głośno burknęła i cofnęła się z progu ze stukiem drzwi za sobą zamykając.

Nazajutrz do Władysława Orszaka o dwie mile od Leszczynki mieszkającego pojechała. Przed wyjazdem do córki rzekła:

— Muszę po wiadomość pojechać... Rady sobie inaczej nie dam... Julek mówił, abym się w każdej potrzebie do pana Orszaka udawała i że on zawsze najwięcej o wszystkim wiedzieć będzie. A ty, Inka, nie siedz z założonymi rączkami; wyręcz mnie, małeńkich popilnuj, sukienkę Ludwinki napraw... wczoraj ją porozdzierała.

Na bryczkę parą koni zaprzężonych i przez Teleżuka powożoną siadła i pojechała, a niewiele przed wieczorem wróciła z twarzą w ogniu i rękoma, które gdy muślinową chustę swą z głowy zdejmowała, widocznie drżały. Do spotykającej ją na ganku Inki rzuciła się z łagodnym szepem:

— Łada dzień... już łada dzień... jutro, pojutrze... może jutro...

— Co, mammo? Co?

Inka także wiadomości nie tylko ciekawa była, ale namiętnie oczekiwała, pożądała. Jakże! W tej głośzy, w tej monotonii, w tej nudzie żeby choć jakiegokolwiek urozmaicenie, wrażenie.

— Cóż, mamciu? Co? Co będzie łada dzień, może jutro?

Pani Teresa wybuchła:

— Bitwa!... już ku lasom horeckim wojsko idzie...

I dziwnie jakoś na miejscu się zakręciwszy, jak wicher wleciała do domu, gdzie biegly na jej spotkanie dwa cienkie radosne głosiki.

— Mama powróciła! Mamo! Mameczko! Mamciu! — A w tej samej chwili, na ganku, z którego Inka zeszła, aby powolnym, zniechęconym krokiem po ogrodzie błędzić, Janek i Olek przysunęli się ku sobie, cali drżący i tak na twarzach pobledli, że rumianego Olka zaledwie by w tej chwili poznać było można. Stali za Inką, gdy matka z bryczki wysiadła, słyszeli, co mówiła.

— Wo... wojsko już idzie! — trzęsąc się jak w febrze szeptał Olek.

A Janek ze spuszczoną twarzą milczał i tylko szczupłymi palcami miał karty trzymanej w rękę książki. Gdy twarz podniósł, oczy mu tak błyszcząły, jak nieraz u pani Teresy w chwilach zapału bywało. Julek i on odziedziczyli po matce te piwne oczy, które wśród pewnych stanów psychicznych przemieniały się w zarzewia gorejące. Chłopięcą, smukłą, sprężystą postać swą wyprostował i z powagą tak wielką, że niemal uroczyście rzekł:

— Teraz, Olku, albo nigdy. Pójdź! Pogadamy!

Tej nocy nikt w Leszczynce dobrego snu nie miał. Pani Teresa wprawdzie z przyzwyczajenia i zmęczenia usnęła około północy, lecz wkrótce potem z pokoiku jej wychodzić

poczęły i po całym domu się rozchodzić jakieś dziwne, senne, przeciągłe nawoływania czy przyzywania. Żadnego imienia, żadnego wyraźnego słowa w dźwiękach tych z uspięnej piersi wychodzących rozróżnić nie było podobna, ale nabrzmiały one były taką żalością i tęsknotą, tak tęsknie, posępnie, przewlekłe rozchodziły się po ciemnych izbach, że Inka, jak codziennie bywało, do późna zawijaniem loków zatrudniona, zerwała się sprzed lusterka i z lampką w rękę do izdebki matki pobiegła. Pani Teresa miała zwykle sen twardy i nie przebudziło jej wejście córki, która zobaczywszy ją uspioną i po izdebce rozejrzawszy się, znowu przed lustro swe wróciła, ale już do zawijania loków nawet ochoty pozbawiona. Ze stukiem lampkę na stole postawiwszy, gniewnym ruchem wzięty do ręki grzebień odrzucając zaszepiała:

— Boże mój! Ja nie wytrzymam! Żeby to od tych wszystkich smutków gdziekolwiek uciec można było! Boże mój! Jaka ja nieszczęśliwa... nieszczęśliwa!

Oczy miała pełne łez, które też dwoma sznurkami po pięknej twarzy popłynęły, pięknieszczą jeszcze ją czyniąc. Patrzała też na odbite w lusterku swoją piękność i swe łzy.

— I po co mi ta piękność? Co mi z niej? Po co mi ona... w tej dziurze... wśród tych smutków?...

Gdy tak z załamanymi rękoma i dwoma sznurkami łez na policzkach szeptała, w tej samej chwili z izdebki pani Teresy znowu wypłynęło i po ciemnym domu rozplynęło się senne, przeciągłe, tęskne bezbrzeżnie, żalosne wołanie czy błaganie.

Kogo tak przez sen przyzywała czy błagała? Syna, który lada dzień w ogniu bitwy znaleźć się miał, czy Boga, którego ukrzyżowany obraz w głębokim zmroku mętnie biał?

Teleżuk także wcześniej niż zwykle, bo u samego początku świtania z pościeli wstał i Nastki nie budząc drzwiami do ogrodu prowadzącymi z domu wyszedł. Czegoś niespokojny być musiał, bo niezwykle szerokim krokiem poszedł ku lipie, pod którą chłopcy od niedawna nocleg sobie założyli, a na rozpostartych u stóp drzewa pościółkach nikogo nie ujrawszy stanął jak wryty, jeden tylko przeciągły dźwięk z ust wydając:

— Aaaa!

Przed nocą widział, na własne oczy widział, jak pokładli się tam do snu i bliscy usnięcia się zdawali, a teraz... Wstali snadź wśród nocy i dokądś poszli. Dokąd? Nie zastanawiałby się nad tym Teleżuk w innym czasie, bo małoż to dokąd niedorośli chłopcy tacy latać mogą! Ale teraz miał podejrzenie pewne i obawy... niedobrze określone... niejasne, ale miał. Powstały w nim one już wtedy, gdy z Julkiem i dziatkowickim panem broń w Dębowym Rogu zakopaną odkopując spostrzegł, że ziemia poruszoną była, że ktoś tu po nich z rydłem około niej chodził... A potem Julek i dziatkowicki pan z wielkim zdziwieniem spostrzegli, że pudło z pistoletami odbite i że w nim dwóch pistoletów brakuje. A potem jeszcze i dwóch noży jakichś, co to ich panowie sztyletami czy kindżałami nazywali, zabrakło... Ale długo o tym nikt wtedy nie mówił; czasu nie było... Tylko znowu kiedy Julka do Działkowicz wiozł, prosić on jego zaczął, aby chłopców na oku miał, aby przed własnym dzieciństwem strzegł ich, bo kto wie, jakie głupstwa do głowy przychodzić im mogą... Wszystko to Teleżuk miarkował sobie w głowie, jedno do drugiego przykładając, aż teraz zaniepokoił się i wszystkie kąty ogrodu obszedłszy, szerokimi krokami ku wsi chłopskiej poszedł. Bawił dość długo, a powrócił snadź z powziętą wiadomością jakąś, bo z wielkim pośpiechem konia do wozu założywszy, nikogo w domu ze snu nie budząc, za bramę dworku wyjechał i skierował się w stronę lasów horeckich. O tym, co teraz działo się i dziać się miało w tych lasach, od pani Teresy wiedział. Konia zaprzęgając i potem na wozie siedząc, często z ust wydawał dźwięk przeciągły:

— Aaaaa! Aaaaa!

Dziwienie się wielkie i zgryzota w tym dźwięku brzmiały. I wyglądał Teleżuk na wozie swym ponuro, czasem tylko gniewnie.

— Oj, dałby ja im za to, dałby!

Biczem w powietrzu szeroko zamachnął, znowu głowę na pierś opuścił i w posępny kamień kształt człowieka na wozie mający zastygł.

A oni, gdy Teleżuk w pogoń za nimi z Leszczyńki wyjeżdżał, już Kanał Królewski wpław przepłynąwszy ku horeckiemu dworowi zmierzali.

Nie wytrzymali tedy, poszli. Na wieść o bliskiej bitwie, o wojsku już nadchodzącym, rozbijała się ich wyobraźnia tak szeroko i mocno, krew w żyłach chłopięcych zawrzała tak

gorąco, że wszystkie inne uczucia umilkły, wahania ustały. Śród nocy, pod lipą, w świetle pobłyskujących zza jej gałęzi gwiazd najnowszą odzież skózanymi paskami przewiazaną i niekoniecznie całe obuwie przywdziali, pistolety i kindżały za odzieżą schowali i wszystko to rękoma z niecierpliwości drżącymi uczyniwszy, cichutko odeszli.

Do partii poszli.

A jeżeli naczelnik nie zechce ich tam przyjąć? Może i on tak jak inni bębnami ich nazwie, do domu wracać każe?

Myśl to była piorunująca, ale otrząsnęli się z niej prędko.

Nie, tak być nie może! Naczelnik wielkim człowiekiem jest, a ludzie wielcy wszystko wiedzą i rozumieją. On ich zrozumie; on im powie: „Zostańcie, rycerze młodzi! Walczcie z nami i z nami zwyciężcie lub zginiecie!”

Zwyciężyć albo zginąć! Co za czar w trzech tych wyrazach! I naczelnik wypowie je do nich niezawodnie, a Julek zawstydzi się, że choć brat i — bohater, tak, bo pomimo wszystko bohaterem jest jednak, ich zrozumieć nie potrafił i — ocenić! Tak; nie potrafił on ocenić w nich takiej samej odwagi i takiego samego rzutu do bohaterstwa, jakie w nim były. Teraz przekona się.

Drogę do dworu horeckiego dobrze znali. Gdy Inka cztery lata z panną Awiczowną się uczyła, matka jeździła tam często i ich z sobą czasem zabierała. Niezbyt daleka to zresztą była droga. Trzy mile niespełna. Rozkosznie ją w kilka godzin przebyli, bo cudne były świeżość i jasność poranku i cudniejszymi jeszcze napełniające je uczucia. Czuli się krzepcy, silni, lekcy, nade wszystko wolni.

Zdawało się im, że okowy jakieś z nich opadły i że lecą, nie idą, ale wprost na niewidzialnych skrzydłach lecą ku przygodom nadzwyczajnym i zadziwiającym, ku czynom potężnym, do których prężyły się ich ramiona i zaciskały drobne pięści, ku słońcu jakiemuś wirującemu w oddaleniu ogromnym i rozrzucającemu na świat cały olśniewające, czarujące kolory i blaski.

Mieli zamiar przejść koło dworu horeckiego w sposób taki, aby przez nikogo tam spostrzeżeni nie zostać i w pobliżu dworu tego, w miejscu dobrze im znanym do lasu wejść. Lecz z pewnej już odległości dostrzegli, że we dworze dzieje się coś niezwykłego... Jakiś tłum ludzi na dziedzińcu rozległym, jakieś błyski metalowe w powietrzu, jakaś wrzawa grubych głosów. Za zasłoną krzaczystych wierzb, które ścieżkę polną obrzeżały, zbliżyli się jeszcze nieco, wzrok wyteżając i jednocześnie zaszepotali:

— Żołnierze! Wojsko!

Z łatwością domyśleć się mogli, że wojsko to wkrótce pójść miało tam, dokąd i oni dążyli. Jednocześnie z tym domysłem uczeni oblewające ich od stóp do głowy gorąco. Gorąco zapału i niecierpliwości. Ach! Znaleźć się już tam — znaleźć się co prędzej tam, gdzie będzie walka, niebezpieczeństwo, pole do urzeczywistnienia marzeń tak długo snutych, ambicji tak długo skrywanych, bo przez ludzi nie rozumianych i poniewieranych. Tyle jednak rozważa im zostało, że zrozumieli potrzebę odejścia stąd jak najszybszego i przedostania się do lasu w miejscu od tego odległym. Tak uczynili. Jak myszy polne po zagonach i miedzach, pod krzakami i drzewami, głębią rowów u brzegów pól prześliznęli się, przesmyknęli i daleko, tam dokąd już z horeckiego dworu żaden błysk ani odgłos nie dochodził, do lasu wbiegli. Tu zziązani, bez tchu prawie, cali jeszcze od przeprawy przez wodę mokrzy, na mchy leśne pod sosnami upadli.

— Ot, szczęście! — szybko i głośno oddychając zawołał Olek.

Janek nic nie odpowiedział, ale na bladawej twarzy, ku przezierającym przez sosny błękitom niebieskim zwróconej, miał wyraz ekstazy. Porwał się też wkrótce z ziemi.

— Chodźmy!

Olek, choć nieco cięższym ruchem, na nogach stanął.

— Chodźmy!

Dobrze! Lecz w którą stronę lasu skierować się im wypada? Wiedzieli, że był ogromny i łączył się z lasami innymi, a w jakim punkcie jego znajduje się to, ku czemu dążą, skądże im wiedzieć? Pierwsza to była troska, która po opuszczeniu Leszczynki na nich spadła, lecz nie przywiązywali do niej wagi wielkiej. Olek zawołał:

— Ot, wielkie rzeczy! Będziemy lasem iść, iść, iść, aż znajdziemy...

— Zapewne! Nie połową kuli ziemskiej przecież jest ten las! Coś przecież dojrzymy czy usłyszymy, co nam wskazówki jakiejś udzieli.

Poszli i — szli, szli, szli... po ścieżkach przez trzody wydeptanych i po mchach sprężystych, trawach wysokich, wrzosowiskach suchych, po drogach nieszerokich, w mnóstwo kolein wyrzeźbionych, pomiędzy kolumnadami wyniosłych sosen i świerków, przez gęstwiny zarośli i wiklin, nad którymi konary odwieczne rozpościerały stare jak sam ten las drzewa liściaste, gałęziste, jak czary winem musującym, ptactwem świegocącym napelnione... przez te świergoty ptactwa i metaliczne, chóralne brzęczenie owadów, przez rozciągnięte od krzaku do krzaku złote smugi słoneczne, przez spadające od splątanych konarów płachty czarnych cieniów — szli, szli, szli.

Mali, wielkością otoczenia pomniejszeni, jak u zmęczonych i zarazem śpieszących się bywa, szczupłe ciała naprzód pochylając, z daszkami czapek głęboko na oczy osuniętymi wynurzali się z cieniów głębokich, przebywali osłonecznione polany, zatapiali się w gęstych zarośli, wynurzali się z nich na ścieżki lub drogi, po których przemykiwali się na kształt zajęcy, które na widnych przestrzeniach zdwajają szybkość biegu, instynktem gnane ku cieniom, schronieniom, zasłonom.

Nie słyszeli szczebiotu ptactwa ani brzęczenia owadów, nie spostrzegali wychylających się zewsząd kwiatów ani zrywających się spod stóp ich motyli, nie czuwali grzęnięcia stóp w pagórkach mrówczych ani czerwonych szram, którymi im jałowce i świerki znaczyły twarze i ręce.

Szli, szli, szli, głusi i ślepi, a jednak ze wszystkimi siłami istot swych skupionymi we wzroku i słuchu. Skupionymi i wyteżonymi aż do bólu, aż do zapierania oddechu w piersi, aż do obezmyślenia wyteżonymi, w oczekiwaniu, w poszukiwaniu namiętym prawie do szału, upragnieniu jakiegoś odgłosu, przebłysku, czegoś, czegokolwiek, co powiedziałoby im, oznajmiło, wskazało: tam! tam! tam! idźcie, zlećcie pomiędzy zbrojnych, odważnych, bohaterskich z okrzykiem: „I my, i my!”

Okrzykiem tym, w miarę jak czas upływał, piersi ich coraz więcej nabrzmiewały. Pot perlisty występował na czoła, oblewał policzki, u Janka coraz bledsze, u Olka coraz czerwieniejsze i często tak wydęte, jak bywało, gdy na rozkaz matki ogień w samowarze rozdmuchiwał.

I nic, nic, nic. Żadnego odgłosu ani błysku, ani koloru, który by oznajmiał, ukazywał. O południu Olek zajęczał.

— Siądźmy trochę...

I upadł na ziemię pod rozłożystym drzewem. Janek niechętnie stanął przy nim. Starszy i sprężystszy, mniej czuł zmęczenie. Ale w zamian uczuł, że jest głodny.

— Olek, daj chleba!

Chłopak nagłym ruchem postawę leżącą na siedzącą zmienił i obu dłońmi po bokach się uderzył. Zmieszaniem zamigotały mu błękitne oczy.

— Zapomniałem wziąć!... — zajęczał.

Ale Janek ze spokojem przyjął smutną tę jednak wiadomość.

— No, cóż robić? Nic dziwnego, żeś zapomniał... Takeśmy się śpieszyli.

Obok brata na trawie usiadł.

— Trochę głodu! Co to znaczy? Czy tak jeszcze na wojnach bywa?

A Olek dodał:

— Spartanie to nieraz i bez wojny po trzy dni nic nie jadali, aby tylko hartu...

Wyprostował się nagle.

— Słyszysz, Janek?

— Słyszę... słyszę... słuchajmy!

Cóż usłyszeli? Jakies w oddaleniu pewnym szemranie i niewyraźny, przez oddalenie tłumiony pogwizd... Odzywało się to i milkło, ale od tła innych poszumów i pobrzmiwań lasu odskakiwało.

— Może to...

— Może tam...

I zerwali się na równe nogi. W kierunku niewyraźnego szemrania i pogwizdywania poszli i szli, szli, szli, aż przyszli na dolinkę małą, u brzegu której wytryskiwał nie wiedzieć skąd strumyk wody srebrzystej, perlistej, przez dolinkę płynął i szemrał, brzęczał, jakby mowę ludzką, spieszoną, tajemniczą naśladował. Nad strumykiem zaś rosły w miejscu pewnym do gromady zbiegnięte brzozy białokore, a w listowiu ich wilgi żółte skakały i gwizdały.

Uklękli nad strumieniem, pili wodę srebrzystą, perlistą, potem nią twarze i ręce omyli i dalej poszli.

Dość późna popołudniowa godzina znalazła ich siedzących na dywanie z traw, jak płatami śniegu usypanym kępkami kwiecia poziomkowego. Gdybyż to były jagody! Ogromnie przedwczesnym tej wiosny wszystko było w naturze i kwiat ten był przedwczesnym, jagody też zdarzały się już tu i ówdzie, ale w tym miejscu ich nie było, a im głód doskwierał. Wczoraj we wzruszeniu niezmiernym wieczery do ust wziąć nie mogli. Już przeszło dobę całą nie jedli. Jednak niby umowie jakiejś posłuszni o głodzie nie mówili ani słowa. Co do zniesienia przyszło, odważnie muszą znieść i broń Boże nie jęczeć ani narzekać po babsku! Oprócz głodu zmęczenie we wszystkich członkach czują, boć od północy wciąż idą i idą. Przez otwory niezupełnie całego obuwia nabrali pełno ciał obcych, igieł sosnowych, żwiru, które kłują i do krwi ranią spieczone stopy. Ale to wszystko nic. Te wszystkie rzeczy cielesne mężnie i w milczeniu zniosą. Zmartwienie ciężkie i troska gryząca ich w tej chwili, to błąkanie się po lesie już tak długie. Od wczesnego ranka aż dotąd błąkają się i — nic! Może od celu swego oddalają się coraz, zamiast do niego się przybliżyć? Bieda! Co tu robić? Żeby choć człowieka jakiego zobaczyć, zapytać!

— Żeby to, tak jak dawniej bywało, pustelnicy po lasach mieszkali! — westchnął Olek i dalej snuł marzenia.

— Taki pustelnik przyjąłby nas w swojej lepiance czy jaskini, nakarmiłby i drogę nam pokazał... A teraz co? Nie ma na świecie pustelników.

— Za to leśnicy są, tylko że żadnego spotkać jakoś nie możemy; dlatego pewno, że prawie wszyscy w partii.

— Szczęśliwi!

— Aha! Im nikt nie bronił. Owszem, wołali ich, ułatwiali.

I znowu: co tu robić? W którą stronę iść, w którą nie iść!

Na pociechę czy dla uspokojenia pistolety zza odzieży powyjmowali i długo oglądali je ze stron wszystkich.

— Śliczne — zdecydował Olek.

— Co tam, że śliczne! Ważne to, że doskonale niosą...

— Uhu! Jak to ja wtedy do tej wiewiórki trafiłem...

W lesie, daleko od leszczyńkowego dworku po wielekroć już broni tej próbowali pukając z niej i pukając. Olek raz wiewiórkę zabił. Naboi też wydali na to sporo, lecz mieli przy sobie zapas ich jeszcze znaczny.

— A scyzoryki?

W dziecinnych rękach, niedawno wodą srebrzystą, perlistą omytych, ukazały się z pochw dobyte, szerokie, w połowie zakrzywione noże. Promień słońca w stalowej powierzchni ich złościście zabłyszczał. Błysk ten jakby podrzucił ich w górę.

— Idźmy!

Poszli znowu, ale szli wolniej niż wprzód. Tu i ówdzie zza drzew przerzedzonych widzieli tarczę słoneczną, już dużo ku zachodowi podsuniętą. Gdzie indziej kryła się ona przed nimi za gęstwinami nieprzeniknionymi, przez które na nich, na trawy, krzaki i w powietrze sypał się złoty deszczyk rozpylonych iskierek słonecznych. Wśród jednej właśnie z gęstwin takich o słuch ich obilo się coś nadzwyczajnego, grzmot nie grzmot, turkot nie turkot, coś co głucho potoczyło się lasem, w oddaleniu znacznym, niewyraźne, potężne, toczyło się czas jakiś — aż umilkło i po chwili niedługiej, po dwu minutach może, znowu się potoczyło.

Wśród przerastającego ich albo do szyi im sięgającego listowia krzaków, nad którymi z kolei listowie drzew rozpościerało pułap zaledwie przejrzysty, stali jak w ziemię wryci, słuchali, aż Olek krzyknął:

— Strz... strz... strzelają!

— Strzelają! — potwierdził Janek i bez porozumienia się, bez słowa, nagle, jednomyślnie, z jednostajną szybkością przez gęstwinę, w której odgłos grzmotu ich znalazł, w stronę odgłosu tego bieć zaczęli. Ramionami, które nabrały sprężystości i mocy, rozgarniali, rozrywali przed sobą uploty gałęziste, rozdzielali je swymi ciałami, przeskakiwali nogami, które zdawały się być w tej chwili ze stali i elastyki utworzone.

Daszki czapek zsunęły się im prawie na oczy, policzki przez liść szorstki wciąż chlastane okryły się czerwonymi plamami, szramami i spod szram, spod plam przeglądały błądzą, wielką błądzą szalonego zapamiętania w jednej myśli, w jednym dążeniu. Był to szal. Teraz to już szal ich niósł, podrzucił, świecił im w nieprzytomnych prawie oczach, świstał i rzeźił w oddechu tak głośnym i śpiesznym, iż zdawało się, że wnet, wnet szczupłe ich piersi rozerwie. Wszystko, co w naturze chłopięcej jest porywem do przedwczesnych, lecz wabiących czynów, wszystko, co jest w niej uporem, ambicją i wszystko, co we krwi i duszach chłopców tych było górnym miłowaniem i marzeniem, w tej chwili, w chwili bezprzytomnego biegu w stronę usłyszanych odgłosów bitwy kipiało w nich, szalało...

Ale pod szalem, w ciałach ich niedorośliwych, zgłodniałych, tułaczką wielogodzinną umęczonych, pracowało coś innego jeszcze; pracowało w nich i ogarniało je stopniowe, przewyciężane, przemijające, powracające, aż na koniec niepodobne do przewyciężenia — mdlenie. Mdleć im poczęły ramiona i nogi, mdlał, rwał się, dławił oddech, przed oczy nasuwała się mgła czerwono cętkowana.

— Nie mogę! — zajączał Olek, bo kolana ugięły się pod nim i jak długi runął na ziemię, u stóp sosny wyniosłej, wyniosłej.

Janek nie rzekł nic i nie upadł, ale usiadł obok leżącego brata z oczyma zgaszonymi, bardzo błądy.

Teraz otaczały ich sosny wyniosłe, wyniosłe, bardzo rzadko rozstawione. Wspaniałą kolumnadą stały na podścielisku gładkim, tak jak najgładsza posadzka gładkim i od opadłego igliwia płowo łśniącym.

Płowo łśniła gładka posadzka lasu pod ukośnie kładącymi się na nią smugami słonecznego światła, a główce kolumn szeroko rozpostartymi koronami gałęzi zdawały się wspierać w błękitne niebo. Cisza tu panowała.

Po ciszy głębokiej, czystej, wonnej, wśród rzadko rozstawionych na płowo łśniące posadzce kolumn złotych, toczyły się niezbyt oddalone, dość nawet bliskie grzmoty... Grzmoty strzelania zbiorowego. A pomiędzy nimi, w przestankach krótkich, stuki strzałów pojedynczych.

— Bitwa! — zaszeptał Janek.

— Bi... bi... bit...

Olkowi oddech marł w piersi, nie mógł wyrazu dokończyć.

— Blisko gdzieś!

— Blisko.

— Lećmy!

Porwali się z ziemi, znowu bieć zaczęli i niedużą przestrzeń przebiegłszy znowu na ziemię upadli.

— Jeszcze trochę — zaszeptał Janek — jeszcze trochę odpocząć...

Powieki opadały mu na oczy, przed którymi błąkały się szmaty mgły mętnej, w czerwone kropki. Ale minuta cała nie upłynęła jeszcze, gdy przez tę mgłę ujrzał coś takiego, co mu członki wyprostowało i krew całą do serca rzuciło.

— Widzisz? Widzisz, Olek, widzisz? tam!

— Widzę! Widzę! Widzę!

I ten siedział już wyprostowany, a oczy płonęły mu jak ogniki błękitne.

Widzieli gromadkę jeźdźców, która wyłoniła się skądś od strony grzmotów, spośród gęstwiny i biegła kolumnadą widną, na luźnych przestrzeniach, po smugach słonecznych, leżących na posadzce płowo łśniącej. Głucho po mchu i igliwiu tętniły kopyta ich koni, jaskrawo migotały w złotej mgłę słonecznej jak krew czerwone ozdoby ich ubrań, wysoko błyskały ostrza ich długiej, nad ubranymi w czerwien głowami sterzącej broni... Niewiele ich było; dziesięciu, dwunastu. Drobny oddział wojskowy, może z rozkazem kędyś posłany, może straż stanowisko zmieniająca.

Pod jedną z kolumn zaszemrał szept chłopięcy wezbrany, zdyszany:

— Kozaki!

A po sekundach kilku drugi szept bezprzytomny, gwałtowny:

— Strzelajmy!

Na jedno kolano przyklękli obaj, czapki z głów im pospadały, wargi trzęsły się, oczy płonęły, w rękach błyskały pistoletowe lufy.

— Janek! Razem!... razem... czy już?

Tamten tonem komendy wojskowej głośno, uroczyście mówił:

— Strze-lać!

Jak dwa kamienie w przezroczystą wodę i w ciszę kolumnady głęboką, czystą, wonną, padły dwa strzały.

Konie kozackie stanęły zrazu jak wryte, a potem zwróciły się w stronę strzałów.

Nie widzieli i nie byłoby zapewne dostrzegli dwóch drobnych postaci przy ziemi szarzejących w oddaleniu. Teraz na koniach chyżych, kolumny złotawe wymijając lecieli ku nim...

Zakotłowało się, zahuczało, zastukało u stóp sosny wyniosłej. Kulą w ramię ugodzony Olek na iglicową pościel upadł. Janek stał śmiertelnie błydy, ale wyprostowany i tylko powieki mrugały mu prędko, prędko nad oczyma jakby oślepiionymi krwistą czerwienią ubrań tych jeźdźców, którzy z koni zeskoczywszy otoczyli go kołem huczącym, ciasnym. W huczeniu mowy ich gniew wrzał, ale także i śmiech pobrzmiwał... Śmiech gruby, może nienawistny i może wzgardliwy, jednak nie dający w pełni wezbrać gniewowi. Jakiegoż to nieprzyjaciela tu napotkali? Takież to zasadzkę tu na nich uczynił! Rzemienie nahajek parę razy świsnęły w powietrzu i na szczupłe plecy nieprzyjaciela opadłszy ku ziemi zwisły, pistolety utkwily za czerwonymi pasami.

— Cha, cha, cha, cha!

Ale nie wszyscy śmiali się, niektóre z twarzy wąsatych i ciemnych były srogie i groźne. Dowódca zawołał:

— Brać ich! Na koń z nimi! *Do naczalstwa!*

Lecz w tejże chwili z piersi Janka wydarł się krzyk radości taki, z jakim istota ludzka na zgubę swą oko w oko patrząca wita ratunek, zbawienie. Ujrzał przeciskającą się przez mundury kozackie siermięgę chłopską i zaświeciła mu wśród kozackich twarzy blada, bardzo blada, lecz niewstrząśnięta, tak jak zawsze nieruchoma, niema twarz Teleżuka. Wężowym skrzętem Janek wysliznął się z rąk, które już porwać go miały, i jednym skokiem znalazł się przy chłopie, ręce na szyję mu zarzucił, do piersi jego piersią przyłgnął.

A on, w siwej siermiędze, zdjął z siwiejących włosów czapę baranią i ramieniem pacholę ogarniając, nisko aż do samej ziemi pokłonił się temu spośród żołnierzy, w którym domyślił się zwierchnika.

— Oddajcie mi, panie, te *detyny!* To małe jeszcze... głupie!

O! gdyby to nie był chłop! Za wstawiennictwo takie dałby w okup wiele. Ale z chłopami oględnie, niemal miłośnie postępować przykazano. Od chłopskich pleców nahajce kozackiej — wara!

Więc tylko głos niecierpliwy zapytał:

— Kto ty taki?

On z pokłonem znowu aż do ziemi niskim:

— Ja chłop.

A potem głosem powolnym mówił jeszcze:

— Ja nie *miatieźnik*, ja chłop. I oni nie *miatieźniki*, oni — dzieci.

— Twoje? — krzyknął dowódca.

Głową przecząco wstrząsnął.

— Nie moje... ale matkę mają...

Rękę do włosów podniósł; coś wypowiedzieć chciał, słowa przychodziły mu z trudnością. Jednak zaczął:

— Ona nie pani... z biedą żyje, na nich pracuje, *horuje*.

Dowódca cierpliwość tracąc krzyknął:

— No, to i ją do *turmy*, na Sybir... czort niech ją weźmie.

A do podwładnych zwrócił się:

— Brać ich!

Sekund kilka i już obaj znaleźli się na siodłach, ramionami żołnierzy, którzy na nie wskoczyli, ogarnięci.

Teleżuk raz jeszcze u strzemięcia dowódcy aż do ziemi się pochylił.

— Zlitujcie się... *panoczku*... — zaczął.

Ale nad podnoszącą się znad ziemi głową jego zabrzmiał okrzyk:

— Pójdź precz! Precz!

Gdyby nie był chłopem! Był nim, więc nietknięty pozostał i widział jeźdźców odbiegających wśród sosen rzadko rozstawionych, na koniach zgrabnych i lekkich, w różowym pyłe poświaty słonecznej. Przez mgnienie oka zobaczył na rękawie odzieży Olka wielką plamę koloru krwistego, a potem twarz Janka bladą jak płótno, oblaną deszczem łez. Znad ramienia kozackiego zwracała się ku niemu twarz Janka wołając:

— Teleżuk, powiedz mamie...

Zagłuszył cienki głos chłopięcy tętent odbiegających koni. Teleżuk stał chwilę z głową w namyśle czy w żalu kołysząc się w obie strony, aż ruchem niespodzianie u niego szybkim rzucił się ku stojącemu opodal swemu wozowi.

Siadł na wóz, wstrząsnął lejcami i pełnym klusem niewielkiego, lecz dobrze dogłdanego konia puścił się za gromadką jeźdźców. Z postawy naprzód podanej, ze wzroku przed siebie wyteżonego, ze sposobu, w jaki konia do pośpiechu nagłąc rozmachiwał biczem, odgadnąć by można, że za znikającymi mu już z oczu jeźdźcami ślad w ślad jechać, a w potrzebie choćby śladów ich szukać, choćby daleko, najdalej, doganiać ich zamierza...

Dwa, może nawet trzy dni przeminęło po stoczonyj w lasach horeckich bitwie. Pani Teresa siedziała w kuchni na ławie i słuchała opowiadania stojącego przed nią Teleżuka. Tylko co do Leszczyнки powrócił. Nastka z twarzą od płaczu opuchłą ujrzała go przez okno przed stajenkę podjeżdżającego i do izb przyległych przeraźliwie krzyknawszy: „Pani, Panas powrócił!” z szalonym śmiechem radości na spotkanie jego z domu wypadła. W domu dały się słyszeć głośne stuknięcia drzwi, głośne, pośpieszne kroki i do kuchni wbiegła pani Teresa. Jednocześnie w drzwiach przeciwnych ukazał się Teleżuk kurzem dalekiej snadź drogi okryty, na twarzy zmizerowany i więcej niż kiedy ponury; z biczem w rękę stał przed siedzącą na ławie kobietą i głosem powolnym, mową jakby senną opowiadał.

Domyślił się, dokąd chłopcy poleciali, we wsi parobek jakiś widział ich po północy przechodzących, i w którą stronę poszli, powiedział; pogonił za nimi, w drodze nie dogoniwszy, do obozu powstańczego jechał, długo odnaleźć go nie mógł, po lesie wielkim błądził, strzelanie usłyszawszy, ku miejscu, z którego dochodziło, jechał i ot, na co trafili! Zabrali chłopców. Prosił: „Oddajcie! Toż to *detyny!*” Nie posłuchali i razem z nimi do *naczałstwa* poleciali. On za nimi gnał — dognał, *naczałstwa* prosił: „Oddajcie, toż *detyny* jeszcze niewyrośle, głupie!” Nie posłuchali. Dalej powieźli. On za nimi. Z miasteczka do miasteczka. Gdzie stawali, on także stawał i — prosił: „Oddajcie! Puśćcie! Toż to *detyny!* Matkę mają!” Tak aż do powiatowego miasta, o dziesięć mil stąd zjechał, ale tu już prosić nie mógł, bo do *naczałstwa* go nie dopuszczono. Tyle tylko, że dowiedział się... chłopcy w *turmie* posadzeni... Jak rozbójniki czy koniokrady w *turmie* siedzą... *Szczob ich!*

Reszty rozpoczętego przekleństwa głośno nie dopowiedział i nie wiadomo było, kogo przeklinał: *detyny*, które tyle biedy naczyniły, albo tych, którzy próśb jego tylokrotnych nie posłuchali, lecz gdy przestawszy mówić, na okno, za którym w zieloności majowej ptaki ćwierkały, nieruchomo patrzeć zaczął, czy miał tak samo jak po stracie własnych dzieci niby u sowy we dnie krwią zasze i osłupiał.

Wszystko, co tylko wiedział, opowiedział, oprócz tego, że Olek, gdy go na siodło brano, miał na rękawie odzieży wielką plamę krwistego koloru, oczy zamknięte i twarz tak bladą, jak była u jego nieboszczyka Wasylka, gdy go do sosnowej trumienki składano. Tego jednego tylko nie powiedział. Matki żałował.

Pani Teresa wysłuchała powolnej mowy jego w nieruchomości kamiennej, żadnym słowem, żadnym ruchem jej nie przerywając.

Co przez te ostatnie dni i noce przeniosła, trochę opowiadały o tym policzki jej przychudłe i obwisłe, powieki nabrzmiałe i zacerwienione, czoło głęboko zorane, ale wszystkiego opowiedzieć nie mogły.

Ach, te dni i te noce, kiedy Janek i Olek znikli, i Teleżuk kędyś przepadł, kiedy o bitwie i o Julku nie było wieści żadnej, kiedy godzinami całymi biegała, dokąd tylko mogła, w poszukiwaniu synów znikniętych, kiedy po wiadomości o synu zagrożonym, sama sobie powożąc, jeździła do Orszaka i w domu go nie znalazłszy bez wiadomości

powróciła.

Teraz słuchając opowiadania Teleżuka, końcami palców, ruchem prędkim, ciągłym skubała, poszarpywała fałdę swojej szorstkiej spódnicy. Wzrok miała na opowiadającego podniesiony i usta nieco rozwarłe.

Teleżuk po chwilowym milczeniu rzekł jeszcze:

— Jedźcie, pani, do miasta. Was może do *naczalstwa* dopuszczą... Was może posłuchają... wam może oddadzą...

Trzęsącymi się wargami wyszeptła:

— Także historia!

I nagle ruchem żywym podniosła się z ławy.

— Tak! tak! Jechać trzeba. Robaki moje ratować... Zaraz, zaraz... Żeby tylko czegośkolwiek o Julku się dowiedzieć!... Ale to nic! Tam dowiem się pewnie. Mój Teleżuku! Parę koni do bryczki... Zaraz... Tylko rzeczy trochę upakuję... ich i swoje... w jednych koszulach tam...

Śpiesznym krokiem szła przez kuchnię i nagle uczuła, że znowu tak jak po odjeździe Julka coś ją chce o ziemię cisnąć... Ta sama moc wewnętrzna, która z przeszytych bólem piersi ludzkich wywołuje krzyki, jęki, wyrzekania głośne, nią dziwnie jakoś zakręcała na nogach i na ziemię usiłowała cisnąć. Nie krzyczała, nie łkała, nie wyrzekała, ale ach! ramionami rozkrzyżowanymi na ziemię paść i czołem o nią bić! Lecz nie uczyni tego, nie. Także głupstwo! Jeszcze przecież nic takiego...

Do izdebki swojej wbiegła z głową pełną myśli, skąd pieniędzy na drogę wziąć, gdy wzrok jej spotkał się ze stojącą u okna postacią Inki. Jak posąg boleści pełen wdzięku stała u okna z załamanymi na suknię rękoma, ale z różowymi ustami wydętymi gniewnie i szafirowymi oczyma połyskującymi ostro... ostro. Gniew ją na młodszych braci porywał. Jeszcze i oni. Jeszcze i tego trzeba było, aby do reszty piekła z życia uczynić! Wzdrygnęła się cała, podniesiony głos matki usłyszawszy.

— Inka! Co tak stoisz jak malowana! Słyszałaś przecie, co się stało. Jechać muszę. Zaraz... Do wsi pobiegnę, do arendarza, pieniędzy na drogę dostać... a ty rzeczy moje i chłopców złóż!

Dziewczynnie twarz rozbłysła jakąś nagłą nadzieją czy radością.

— Mamy i chłopców rzeczy? Przecież moje także! Przecież i ja z mamą pojedę...

— Ty? A po co? Żeby koszt utrzymania się w mieście powiększyć? Przy kim, pod czyją opieką małeńkie zostaną?

— Teleżukowa opiekować się nimi będzie.

Twarz pani Teresy, przedtem nieco przybladła, ogniście się zaczerwieniła. Już i w tych paru dniach śmiertelnej dla niej męki wszystkie złości ją chwilami brały na tę królową w wiecznych lokach na głowie, z wiecznie opuszczonymi na suknię rękoma, taką obojętną na wszystko, co się działo, taką beczynną, taką w samym nawet sposobie pocieszania czy uspokajania jej niezręczną i nienaturalną.

Przyszła była na przykład raz do izdebki matki i jak długa przed nią na ziemię upadła. Pani Teresa złękła się.

— Co ty robisz! Inka! Co tobie?...

A ona twarzyczkę śliczną znad ziemi podnosząc szeptać poczęła:

— Ja u nóg mamy leżeć będę... Dopóki Janek i Olek do domu nie wrócą... Czyż ja mamie zastąpić ich nie mogę? Czyż ja nie mogę być dla mamy wszystkim... wszystkim... Głowę na kolanach mamy położyć...

— Także romanse! — zawołała pani Teresa. — Potrzebne mi twoje leżenie u nóg i mam ją teraz czas głowę twoją na kolanach trzymać. Wstań i puść mię, bo do pana Orszaka zaraz jadę, o Julku czegokolwiek dowiedzieć się... A ty, ot, lepiej zamiast na ziemi leżeć i bzdurstwa pleść, idź małeńkich w ogrodzie poszukaj i nagładnij, aby sobie czego nie zrobiły...

Tak działo się wczoraj czy przedwczoraj, a teraz pani Teresa cała w ogniu, z gestami rozgniewanymi do córki mówiła, że w domu zostać musi, Teleżukowej w gospodarstwie i doglądaniu małeńkich pomagać, ją w wielu rzeczach, które inaczej zaniedbaniu ulegną wyręczać. Ale niedługo mówiła, bo i na alabastrową twarz Inki wybiły się rumieńce gorączkowe, a głos ze słodkiego i przyciszonego stał się ostry i donośny, gdy mówić, a raczej

wołać zaczęła, że nie zostanie tu za nic, za nic, że za bryczką matki jak pies pobiegnie, ale w tej dziurze sama jedna z tymi chłopami nie zostanie.

— Ja nie wiem, czego mama ode mnie chce. Ja nie wiem, za co mię mama nie lubi! Ja kucharką ani niańką być nie mogę! Ja nie do tego stworzona! Mnie i tak życie to obrzydło! Jeżeli mama mnie z sobą nie weźmie, to chyba zwariuję albo umrę...

Załamywała ręce, z miejsca na miejsce przebiegała, dziwne spojrzenia z roziskrzonych oczu na matkę wyrzucając. Mieszały się w tych spojrzeniach gniew, żal i coś na kształt niechęci, może do stopnia nienawiści czy wstrętu posuniętej. Po raz pierwszy w sercu Inki uczucia te względem matki ozwały się tak wyraźnie. Zawsze w najtajniejszej głębi myśli swoich uważała ją za kobietę trywialną, grubym pospolitościom życia oddaną, wzniosłym marzeniom niedostępną. Ale teraz, z tym swoim przywiązaniem do tych bębnow, które tyle złego naczyniły, a obojętnością dla niej, z tymi swymi rękoma grubymi, z tym swoim grubym głosem, z tą twarzą jakby w pocie cierpienia skąpaną budziła w niej uczucie bardzo do wstrętu, do fizycznego wprost wstrętu podobne. Jednak, rzecz dziwna, pomysłem jakimś nagle w głowie powstałym uderzona opanowała się, łamać ręce i gniewnie po pokoju rzucać się przestała, do matki przypadła i obejmując ją miękkimi, okrągłymi, kocimi ruchami owijać się dokoła niej zaczęła. I w oczy jej znowu słodkimi, marzącymi oczyma zaglądała, i głosem znowu słodkim, przyciszonym prosiła.

— Także umizgi — oburkliwie zaczęła pani Teresa, ale znać było, że już miękła.

Gdy tamtych nie ma, niechże ta z nią będzie. Przy tym czasy takie niespokojne. Bóg tylko wie, jacy ludzie włóczyć się po wsiach mogą i młodziuchne to stworzenie bez opieki tu zostawiać... czy bezpiecznie? A główna rzecz to, że jej samej w tym nieszczęściu z chłopcami lżej będzie choć jedno to dziecko swoje mieć przy sobie...

— No dobrze już, dobrze! Co robić? Pewno, że maleńkich i gospodarstwa nikt lepiej od Teleżukowej... No, to już jedź ze mną... rzeczy składaj! Ja tymczasem do arendarza polecę...

Ale nie poleciała, bo od strony dziedzińca rozległ się turkot kół i zanim Inka z bawialnej izby wybiec zdołała, wszedł do niej Władysław Orszak.

Poważny, z twarzą szlachetną i zmęczoną, o ruchach i słowach powolnych, a duszy ognistej i czynnej, organizator i naczelnik poczty obywatelskiej wszedł do izby o żółtych, starych sprzętach i belkowanym, niskim suficie, blady, ze wzrokiem zmałym. Zatrzymał się u progu, twarz pochylił, może w ukłonie powitalnym, może w zmieszaniu. Pani Teresa rzuciła się ku gościowi.

— Byłam wczoraj u pana... w domu nie zastałam... żona pana... pani Karolina, nic nie wiedziała... Cóż bitwa? Julek?

Obu rękami rękę jego trzymała, krzyczącymi z głodu oczyma w twarz mu patrząc. On głosem przytłumionym mówić zaczął:

— Bitwa pomyślna... ale Julek...

— Co? — krzyknęła pani Teresa.

— Z obowiązku przyjechałem oznajmić... raniony...

— Jezus, Maria!

Teraz on obie ręce jej w dłonie swe ujął i mocno je ścisnął.

— Raniony ciężko...

Pani Teresa szeroko otworzonymi oczyma patrzyła mu w twarz, która pod jej wejrzeniem w otoczeniu ciemnego zarostu bladła. I oczy męskie, znużone powlekły się szklawem.

Po izbie rozległ się przeraźliwy kobiecy krzyk:

— Zabity!

Zaprzeczenia nie było.

Wyrwała ręce z rąk Orszaka i przez izbę szła, nie wiedząc w jakim celu ku drzwiom izdebki swojej, oczyma suchymi, z ustami rozwartymi szła, aż w pobliżu drzwi tych na ziemię upadła. Teraz to już nie oparła się mocy wewnętrznej i nawet o opieraniu się jej nie pomyślała. Runęła jak długa z ramionami rozkrzyżowanymi, z palcami tak wpitymi w deskę grubej podłogi, jakby jej w niej pograżać, jakby ją nimi rozdzierać usiłowała. Głowa jej czołem o podłogę uderzyła i potem nieruchomą pozostała, a tylko z piersi dobywać się począł dźwięk bez słów, nieustanny, dziwny, do tego podobny, jaki wydaje czasem nad rozległymi białymi śniegami wyjący wiatr zimowy...

Orszak do Inki mówił:

— Odjeżdżam... muszę. Za godzinę najdalej przyjedzie tu żona moja, którą matka pani poważy i kocha, a tędy do miasteczka przejeżdżać będzie, bo... brat jej uwięziony...

Obfitymi łzami oblana była teraz twarz Inki, gdy dokoła matki na ziemi leżącej biegła, prosząc, modląc się prawie, aby wstała, usiadła, rozpaczać przestała. Sama w tej chwili uczuła ból i przerażenie. Serce jej uszka trochę pokazało. Julek zabity! Julek nie żyje! Julka już nigdy nie zobaczy! Na chwilę znikła sobie z oczu i serca. Deszczem łez płacząc, co czynić, nie wiedząc, biegła wciąż dokoła rozciągniętej na ziemi matki, schylając się nad nią, dotykając jej, prosząc...

Ale pani Teresa poruszenia najlżejszego nie czyniła. Jak kłoda ściętego drzewa leżała wciąż z czołem wpartym w podłogę, z palcami w nią wpiętymi i tylko to wycie przytłumione, monotonne, nieustanne...

Aż w drzwiach izby, żonę głośno zawodzącą na stronę usuwając, ukazał się Teleżuk. Do żony rzekł:

— Maleńkie wyszukaj... przyprowadź...

Nad panią Teresą stanął i mową jak zwykle powolną, tylko głosem nieco podniesionym mówić zaczął:

— Pani! A toż Janka i Olka ratować trzeba... A toż Olek to nawet i kulą utrafił...

Nad ziemią ochrypli, zdławiony głos krzyknął:

— Jezus, Maria!

I ciężkie ciało kobiece, w szarej, szorstkiej sukni, z rozplecionymi na plecach wspartymi włosami, nad ziemię dźwigać się poczęło. Z nieszczęścia i przerażenia jednego podnosiło je inne nieszczęście i przerażenie. Teleżuk ujął je w dwie wielkie dłonie i stanąć na nogach mu dopomógł.

— Olek raniony?

— A toż.

— Ciężko?

— Pewno nie, bo ot tu!

Na ramieniu swym ukazał miejsce, gdzie odzież chłopca miała czerwoną plamę.

— Wyzdrowieje... Bóg da... Ale to *detyna*... kiedy boli, to matki woła... i Janek bardzo płakał...

— Robaki! Skarby moje! Teleżuk! Konie zakładaj! Inka, składaj rzeczy!

Wtem dwie drobne istotki przez Teleżukową do izby wepchnięte, dwa cienkie, żalodne czegoś głosiki:

— Mamciu! Matucho! Mamusiu!

Wszystkimi czterema łapkami uczepliły się szyi matki i do twarzy jej drobne głowy przytulając, z jednej strony ciemnymi, z drugiej jasnymi jak len włosami ocierały potoki lejących się po niej łez.

v

W miasteczku powiatowym szła do mieszkania dostojnika, przewodniczącego komisji sądowej, z prośbą o pozwolenie widywania się z synami uwięzionymi i wyglądała dziwnie. Na tle ulicy małomiasteczkowej, ale szerokiej i ludnej, niskimi domostwami ostawionej, ale różnorodnych typów i strojów ludzkich pełnej, wyglądała dziwnie.

Bo nigdy przedtem ulice miasteczka tego ludności tak rozmaitej i tak licznej jak teraz nie miały. Widać, słyhać i czuć tu było zmieszanie plemion, stanów, języków, kipienie namiętności, zalatujący z przestrzeni szerokich wiew walki i grozy.

Pełno przywodzących na pamięć wojskowe parady i bale ubrań oficerskich: błyszczące mundury i oręż, białe rękawiczki, postawy butne, srebrem ostróg i ostrzami pałaszy brzęczące; gdzieś przewiązki czarne, podtrzymujące w bitwach nadwerżone ramiona lub osłaniające na czołach niedobrze jeszcze zgojone rany.

Pełno strojów kobiecych, z piór, kwiatów sztucznych u żon, matek, przyjaciółek oficerów i poczynających napływać ze stron dalekich urzędników.

Liczni mieszkańcy wsi o twarzach ogorzałych, włosach siwiejących, i liczniejsze nad mieszkańców ich mieszkanki w sukniach o tej gorącej porze letniej białych, zastępujących surowo teraz ściganą i karaną czarność żaloby narodowej. Ojcowie, bracia, żony, siostry więźniów, coraz liczniej z szerokiej okolicy napływających.

Wśród mundurów błyszczących, jedwabów szeleszczących, sukien różnobarwnych i białych pani Teresa szła wąskim chodnikiem tak samo jak w Leszczynce chodzić była zwykła, więc właściwie nie szła, ale pędziła, rękami bez rękawiczek z pośpiechu trochę rozmachując, w sukni czarnej i czarnym również, odwiecznym jakimś, płaskim, wciąż na tył głowy zsuwającym się kapeluszu.

Przed chwilą zaledwie do miasteczka przyjechała, Inkę w najętej naprędce izdebce domu zajezdnego zostawiła, a sama, już rozwiezawszy się, dokąd i do kogo iść jej wypada, pędziła wśród ludzi nie widząc ich, nie słysząc ani nawet spotykanych niekiedy znajomych spostrzegając.

Nie do ludzi, nie do przyglądania się im ani do oddawania ukłonów teraz jej było! Gorzał w niej, piekł ją w piersi, stopy jej znad ziemi podrywał ogień żądy i niepokoju: żądy ujrzenia synów, niepokoju o to, czy ujrzeć ich będzie jej wolno. A spodem płynęły myśli drżące o los tych zagrożonych i myśli rozpaczne o tamtym... na wieki straconym. I dlatego tylko myśli rozpaczne o tamtym nie ciskały ją o ziemię, że krzyżowały się z nimi i upadać jej nie dawały myśli drżące o tych...

Wtem męska postać drogę jej zastąpiła i gruby głos przy samej prawie twarzy jej przemówił:

— Pozwólcie, *barynia* (pani)! Wy w *traurie* (w żalobie).

Chciała usunąć natręta i pędzić dalej, lecz ciemne palce policjanta przedramię jej ujęły tak silnie, że stanąć musiała.

— A toż co? Czego pan chce ode mnie?

— Wy w czarnej sukni! W czarnych sukniach chodzić nie *dozwolono*.

Ach, tak! Słyszała o tym, ale wyleciało jej to z głowy. Przypomniła sobie teraz.

— Także historia! A kiedy ja innej sukni nie mam!

Jak wicher odwróciła się, zanim policjant opamiętać się zdołał, odbiegła i do pierwszego lepszego sklepiku wpadając zawołała:

— Wstążki dajcie! Kolorowej! Najkolorowszej! Prędziej!

— Najkolorowszej? To może czerwonej?

— Niech będzie czerwona! Wszystko jedno!

Kupiła wstążkę bardzo szeroką, a tak czerwoną, że na jej widok wszystkie byki ze wściekłością rogi by ku niej nastawiały i skleciwszy z niej natychmiast kokardę wielkości olbrzymiej u szyi ją sobie do sukni przypięła. Nosiła ją odtąd stale i na ulicach miasteczka z dala już, z dala po tym punkcie jaskrawym poznać można było, że ona to idzie.

Wobec czerwoności motyla rozpinającego u jej szyi ogromne skrzydła zniknął sprzed oczu ludzkich nadzwyczajny kształt jej przedwiecznego, płaskiego kapelusza, zniknął niezwykły również w pierwotnej prostocie swej krój jej czarnej sukni, lecz nie zniknęła, owszem, widoczniejsza i wypuklejsza stawała się maska tragiczna, poczynająca twarz jej oblekać. Na tył głowy wciąż zsuwający się kapelusz odkrywał czoło, które bruzdy zgrzyzot we wsze strony ryc poczynają i pod którym wielkie, piwne oczy bywały czasem aż do dna zmącone, uciekające jakies, strachliwe i rozmigotane, a czasem ogniem posępnym i stałym gorejące, przywodziły na myśl pochodnie pogrzebowe.

Wiele już dni od przybycia jej do miasteczka upłynęło.

Na powietrze gorące, na blask słońca złocisty szeroko otwarte było okno w mieszkaniu przewodniczącego komisji sądowej, a że dom był jednopiętrowy, niski, przechodnie uliczni widzieć mogli w ciemnawej głębi pokoju palającą czerwoną kokardę pani Teresy. Widzieć też mogli, jak z szerokimi gestami rąk ogorzałych mówiła o czymś do mężczyzny, którego tylko wzrost wysoki, kruczy zarost smagłego profilu i błyszczące ozdoby ubrania w głębszym cieniu pokoju widzieć było można.

Wysoki, w obcisłym mundurze, zgrabny i wykwinny, twarz miał południowca, wśród kruczego zarostu owalną i smagłą, a w czarnych jak noc oczach płomienistość południowego słońca.

Synem Kaukazu, czerkieskim kniazem był, w żyłach swych miał zmieszaną krew dwóch narodów, zwycięskiego i zwyciężonego, ale w ustach mowę i w sercu uczucia zwycięzców. Dostojnikiem był, topór gniewu i kary trzymającym nad dużą przestrzenią ziemi pożarem objętej i przez nieszczęście oranej coraz szybciej, głębiej. Nosił tytuł kniazia i ludność tej ziemi, nazwisko jego rzadko wymawiając, mówiła o nim wprost i tylko: kniaź.

Dość często pani Teresa do kniazia przychodziła, o pozwolenie widywania się z synami, o możliwość zaspokajania różnych ich potrzeb prosząc, o bieg i możliwy koniec sprawy zapytując.

Nie bardzo umiała prosić. Czasem mówiła:

— Zmiłujcie się, książę, toż to dzieci...

Lecz wnet z tonu prośby wpadała w ton wyrzutu albo przekonywać usiłującej prawdomówności.

— Ja matka! Do mnie tylko dzieci, dopóki nie dorosną, należeć powinny! Ja broni im nie dawałam i do partii iść nie kazałam, bo to jest głupstwo, aby dzieci w takie rzeczy się wdawały, ale skoro uczyniły to głupstwo, ja jedna ukarać mam prawo, mnie oddać ich trzeba, bo mnie jednej Bóg dał prawo, i nie tylko Bóg, ale ta praca moja, te moje zgrzyoty, kłopoty, które ja dla nich...

Tu spostrzegła, że z wezbranego serca skarga wybuchać zaczyna, więc powściągnęła się, milkła, ale nie mogła zatamować drogi łzom, które w oczach jej stawały, szkliste.

Wysoki, wytworny książę, oczu z niej nie spuszczać, półsłówkami odpowiadał. Widoczne było, że zadziwiała go i może po trochu bawiła. Ta twarz tragiczna, nad tą co moment przekrzywiająca się kokardą czerwoną, ta głowa śmiało podniesiona, z oczyma oszklonymi powstrzymywaną z całej siły łzą... Przypatrywał się jej, mówić pozwalał.

Mowę jej rozumiał. Dwoma różnymi językami rozmawiali ze sobą, ale rozumieli się wzajemnie. Ramiona krzyżując na piersi i mrużąc z lekka swe południowe oczy mówił:

— Młodszym synom nie dawaliście broni, sami wzięli, ale starszemu daliście ją... bo dla starszego to nie było głupstwo... co? cha, cha, cha!

Śmiał się z lekka, niezbyt złośliwie, owszem, lekkomyślnie raczej i lekceważąco. W jej oczach łzy jak na zaklęcie nagle osychały. Ze spuszczoną twarzą, ponuro i krótko rzekła:

— Sam wziął, nie broniłam!

— I źle zrobiliście! — żartował jeszcze książę. — Ot, i zginął starszy syn wasz...

Podniosła głowę i przerwała:

— Za dobrą sprawę, za święc...

I nie mogła dokończyć wyrazu, bo połknięte łkanie gardło jej zdławiło.

Książę odwrócił się i urzędowym tonem zapytał, po co dziś przyszła i czego od niego żądała.

Innym znowu razem zauważył:

— Atmosfera w domu widać taka była, skoro malczugany (malcy) tacy zrobić to mogli... Nu, sami przyznajecie, jaka tam u was w domu atmosfera być musiała... a?

Wzruszyła ramionami:

— Atmosfera? A jakaż w moim domu atmosfera być mogła? Wiadomo, że polska. Czy chińska miała być albo angielska? Także pretensja! Polką jestem i dzieci moje w atmosferze polskiej hodowały się... Ale do walki występować to tym robakom małym nie pora jeszcze była...

Książę znowu ku ogromnemu biurku swemu odwrócił się i urzędowym tonem głosu mówić zaczął.

Teraz pani Teresa przed siedzącym sędzią synów swoich stojąc mówiła:

— Bo niech tylko książę zastanowi się i sam powie. Książę jest przecie człowiekiem cywilizowanym, a może i dobrym... Czy ja wiem? W każdym narodzie ludzie i źli, i dobrzy bywają. Proszę pomyśleć i powiedzieć, czy to jest sprawiedliwie i czy to jest ładnie dzieci w *turmach* zamykać, jakies śledztwa sądowe nad nimi zaprowadzać? Przecież ani nie dla rozboju, ani dla hulanki, nie dla pieniędzy ani dla swawoli, ale ze szlachetnego serca, na ofiarę... za sprawiedliwość...

Brwi kniazia, jak krucze pióra czarne, drgnęły, rozděły mu się nieco cienkie, wrażliwe nozdrza, z ust purpurowych wyszło syknięcie gniewne. Ze sprzętu, na którym w postawie niedbalej siedział, wstał i wyprostowany ironicznie mówić zaczął:

— Za wiele mówicie i... za śmiało! Patrzcie, abyście sami nie znaleźli się tam, gdzie są wasze małe *gieroje* (bohaterzy).

Ruchem tak nagłym, że aż czerwony motyl u szyi jej podskoczył, pani Teresa głowę w tył odrzuciła i zawołała:

— A jeżeli znajdę się tam, gdzie są dzieci moje, to i cóż? Także groźba! Dręczycie innych, dręczcie i mnie. Gotowa jestem. O dzieci swoje lękam się, nie o siebie!

Ale w chwili gdy to mówiła, spojrzenie kniazia pobiegło za otwarte okno i nieprędko już powrócił do niej miało. Spotkać się musiało z czymś bardzo miłym i pociągającym, bo razem z uwagą całkowicie się od niej odwróciło.

Z wyrazem zachwycenia, może rozkochania, najpewniej pożądania namiętnego kniaz przetrzał na stojącą pośród wąskiego chodnika Inkę. Za otwartym oknem postać jej ukazywała się jak obraz blaskiem słonecznym wymalowany, ramami otoczony.

Na tle słonecznego blasku stała piękna dziewczyna w wiośnie życia, w śnieżnej bieli sukni, w jasnym zlocie włosów, w zadumie marzącej, smętnej i niewymownie słodkiej.

Więcej niż linie rysów i kształty kibici uderzał w niej i oczy ludzkie do niej przykuwał ten wyraz słodczy niewymownej, delikatności niemal rozwiewnej, smętku marzycielskiego. Zdawać się mogło, że tuż, tuż skrzydła rozepnie i do nieba uleci albo śpiewem anielskim rozebrzmi, albo z tęsknoty za rajem łzami brylantowymi zapłaczę.

Na wyjście matki z domu tego czekała. Nie wiedzieć dlaczego napała się dziś iść z matką. Dla pani Teresy właściwie było to: nie wiedzieć dlaczego; ona wiedziała.

— Zaczekam na ulicy wyjścia mamy stamtąd...

Czekała. Stała na chodniku i powolnym ruchem wzniesionych ku górze źrenic ścigała białe kwiaty pływające po błękitnym morzu, niemniej wiedziała i czuła, że przez otwarte okno patrzą na nią, lgną do niej, ogniem ją oblewają oczy męskie, czarne i płomienne, piękne oczy.

Rumieniec czerwieńszy, niż po delikatności cery i kształtów jej spodziewać by się można, co chwilę aż po brzegi włosów twarz jej powlekał i znikał, aby po chwili jak zorza wypłynąć znowu — różowe usta czasem drgały. Kniaź rumieńce i drgnienia wzrokiem chwycił, pomiędzy warg purpurowych błyskały mu w uśmiechu białe zęby. Wiedział, że ona wie o nim, choć na niego nie patrzy, tak jak ona czuła nie patrząc, że on ją pochłania wzrokiem. Była to rozmowa bez słów. Nie po raz pierwszy pomiędzy Inką i kniazem się zdarzała.

Wnet po przyjeździe swym do miasteczka Inka uderzona została postaciami, ubraniami, wielu cechami ludzi, którym podobnych nie widywała dotąd nigdy. W mundurach obcisłych, wyprostowani i mnóstwem świecących ozdób błyszczący, mieli w sobie ten rodzaj elegancji i gracji, który zawsze i wszędzie ludziom wojskowym towarzyszy, ale który dla jej oczu był nowy zupełnie, niepodobny zupełnie do tego ich rodzaju, wśród którego wzrosła.

Ruchy ich, brzmienia głosów, śmiechy rozlegające się często na ulicy i we wnętrzach domostw, miały w sobie tę śmiałość — i wesołość, z jakimi chodzi po świecie i patrzy na świat — siła. Siła oręża pobrzękującego o kamienie bruku i rzucającego w światło słonecznym połyski jak stal ostre i jak złoto świetne. Siła ogromu, który zwyciężał nieraz i był pewny, że zwycięży znowu. Siła ciał zahartowanych w musztrach, nie rozslabionych w myśleniu, które całe i z chciwością podają się ku radości życia i jego rozkosznym użyciom. I jeszcze: jakiś rozmach szeroki, jakaś hulaszczka swoboda i zwycięska, triumfująca duma.

W szeroko od ciekawości otwarte oczy dziewczyny rzucały się, wyobraźnię jej ku sobie ciągnęły nowość, egzotyckość, błyskotliwość, pewnego rodzaju malowniczość. Bił w nią stamtąd powiew jakiś nierozumiany, nienazwany, lecz upalny, woni jakichś, radości nieznanych, i nienazwanych pełen...

Zaczęła roić.

W ciasnej, brzydkiej, dusznej izdebce zajezdnego domu, w upale nocy letnich, obok matki po całodziennych trudach i wzruszeniach śpiącej, zaczęła roić.

„To są rycerze. Rycerskie postawy i ubiory.”

Przypominała sobie Julka do partii odjeżdżającego, prostą jego odzież pasem skórzanym objętą i wózek jednokonny z powożącym Teleżukiem w baraniej czapie. Takie to było proste, pospolite, prozaiczne.

Przypominała sobie rozmowy i twarze pana Gustawa, młodych Korneckich, Julka i innych jeszcze z tej młodej gromadki, którą znała. Tacy w czasach ostatnich zamyśleni bywali, poważni, poważnymi rozmowami zajęci i takie to bywało smutne... nudne!

A ci są tak weseli, pewni siebie i na tak szczęśliwych wyglądają, jakby żadne nieszczęścia ani niebezpieczeństwa, ani smutki, ani nudy na świecie nie istniały.

Dobrze też im pewnie na świecie!

Niektórzy wprawdzie noszą czarne opaski na czołach. Ranieni snadź w bitwie... może tej samej, w której Julek! Ile razy przypomni sobie o nim, serce jej uszka pokazuje i oczy stają się wilgotne. Ale bo i po co to ludziom wojny sobie wytaczać i nawzajem zabijać, męczyć? Wiedziała wprawdzie dokładnie, wiedziała, po co i o co ta wojna, lecz wszystkie inne myśli tłumiła w niej myśl:

„A ja co temu wszystkiemu winna jestem? Za co ja mam pokutować?”

I serce z uszkami głęboko do wnętrza wtulonymi milkło, a głosy inne, niezrozumiane, nienazywane, z gwałtem, z gniewem, z niecierpliwością wołały:

„Mnie wszystko jedno! Ja chcę życia, radości, świetności! Ja chcę szczęścia!”

Tak roila wśród nocy, a z rana w świeżo kupionym, ładnym kapelusiku ulicą miasteczka biegła. Dotąd udręczeniem jej było, że takiego nie miała; uczucie wstydu, wprost cierpienia dotkliwie sprawiał jej ten, w którym przyjechała ze wsi.

O tym, aby od matki nowy otrzymać, myśleć było niepodobna. Więc po krótkim wahaniu poszła do jednej z towarzyszek starszych, majątniejszych i z najwdzięczniejszym przymileniem się swym poprosiła: „Pożycz”. Nie spotkała się z odmową i teraz w kapelusiku nowym i ślicznym ze sklepu, w którym nabyła go, wybiegła, gdy uderzyły ją, wprost jak dwa płomienie uderzyły w nią i warem ją oblały oczy idącego naprzeciw niej mężczyzny, jak noc czarne oczy wśród smagłej twarzy, pod kruczymi brwiami palające. Jak dotknięcie żelaza rozpalonego spojrzenie to w policzki ją zapiekło. Słyszała, czuła, że on z drogi swej zawrócił i szedł za nią. Wiedziała, kim był. Parę już razy z daleka go była dostrzegła. On może po raz pierwszy spostrzegł ją i zauważył. Ale jak zauważył! Ślepiec chyba nie dostrzegłby wytrysłego mu na twarz wyrazu zaciekawienia i naglej ekstazy miłosnej.

Idąc i za sobą słysząc stąpanie jego równe, silne, myślała:

„Jaki wysoki, zgrabny. I ten mundur jego, zdaje się, że aż iskrzy się, aż pała...”

Iskrzyły się, pałały w blasku słonecznym ozdoby bogatego munduru kniazia.

Kniaz! Nie знаła dotąd ludzi tytuły takie noszących, bo ich w rodzinnej okolicy jej nie było. Czarem powiało na nią od wyrazu tego. Nie myślała o tym, skąd czar pochodził. Pochodził z wyobrażenia o bogactwie, potędze, z niepospolitości również i nowości. Nieraz już przedtem czuła ciekawość, jak wyglądać może człowiek mający tytuł księcia. Teraz wiedziała. Był młody, piękny, świetny.

Aż do bramy zajezdnego domu, w którym z matką mieszkała, szedł za nią. Chciał może dowiedzieć się, gdzie mieszka, i dłużej na nią patrzeć. Słyszała wciąż za sobą kroki jego równe, silne, czasem ostrogą srebrną pobrzękujące. U bramy domu stanęła i profilem ku ulicy obrócona nie na niego spojrzała, lecz kędyś w górę, w górę. Miała z tym spojrzeniem wyraz tęsknoty niewymownej, czystości anielskiej i wiedziała o tym. On zaś, na chodniku przystanąwszy, patrzył wprost na nią, śmiało i ciekawie, z zachwyceniem. Trwało to bardzo krótko, może pół minuty, lecz zadzierzgnęło pomiędzy nimi nic, której on zniknąć nie pozwolił. Kilka już razy odtąd znalazł się na jej drodze i słuchała potem rozlegających się za nią stąpan jego równych, silnych, z lekka i czasem srebrem ostrogi pobrzękujących. Kilka już razy policzki jej oblały się warem, gdy oczy na sekundę, na czas mrugnienia powieki spotykały się z jego czarnym, płonącym spojrzeniem. I książęcym. I spływającym na nią spośród świetnego munduru.

Ale nie zamienili się dotąd słowem żadnym. Była to dotąd niema gra szukających się nawzajem wzroków i wyobraźni, krzyżujących się z sobą nici, które elektrycznością napojone... Lecz po cóż gry takie opowiadać? Rzecz to powszednia i powszechna, pospolita i na wszystkich szczeblach żywego stworzenia znana. Ince jednak wydawało się przygodą nadzwyczajną, triumfem upajającym, przedsmakiem czy przebłyskiem czegoś nad wszystko miłego i upragnionego...

Teraz ujrzała matkę opuszczającą mieszkanie kniazia. Z zupełnie prawie wygładzonymi na czole zmarszczkami, z radością w oczach do córki przypadła.

— Chodźmy! Chodźmy! Jakże długo czekać na mnie musiałaś. Ale ciesz się! Przyrzekł wydać rozporządzenie, aby Olek przez parę tygodni jeszcze w szpitalu pozostał.

Wzmocni się trochę chłopak w wygodach lepszych i może przestanie lękać się tak okropnie celi więziennej. I codziennie z obydwojma widywać się nam pozwolił. Tak, mnie i tobie. Ja nawet dla ciebie nie prosiłam. Sam powiedział: „Może i dla córki pozwolenie weźmiecie; trzeba, aby siostra braciszków *gierojów* odwiedziła”. Nie rozumiem, skąd on wie, że ty na świecie jesteś. Ale zresztą nic dziwnego, oni wszystko o nas wiedzą.

Po drobnych ustach Inki uśmiezek się przewinął. Nie spostrzegła go pani Teresa, myślami i troskami swymi zajęta.

— Do szpitala, do Olka teraz polecę, powiem mu, że go jeszcze ani dziś, ani jutro do turmy nie wezmą, a potem dowiem się, co z Jankiem dziś... bo wczoraj taki był jakiś zdesperowany, posępny, że aż mnie strach zimny oblał. A ty pójdziesz ze mną do braci?

— Nie, mamciu, pani Awiczowej i Tosi przyrzekłam, że dziś u nich... że dziś u nich w szyciu jakimś pomogę...

— Kiedy przyrzekłaś, to dotrzyмай i dobrze, że choć trochę robotą jakąś się zajmiesz... Idźże do Tosi w tę stronę, a ja do Olka pójde w tamtą...

U zbiegu dwóch ulic stanęły; pani Teresa rzekła jeszcze:

— Wiesz, Inka, ten książ, to może i niezły człowiek? Nie wytrzymałam dziś i może zanadto prosto z mostu prawdy mu nagadałam, aż nasrożył się — plecami do mnie, a twarzą do okna się odwrócił. Ale prędko jakoś zlagodniał i z wielką grzecznością wszystko, o co prosiłam, zrobił.

Przez oczy i usta Inki znowu uśmiezki przeleciały, ale pani Teresa już na nią nie patrzyła; pędziła w stronę szpitala więziennego.

Była już tam nieraz. Wkrótce po przybyciu tutaj znalazła się w tej sali widnej, dużej, gdzie na szeregach pościeli szczupłych leżały szeregi postaci w białe płótna owiniętych, sztywnych. Sztywność ciał i ciasność obejmujących je opasek czyniły je podobnymi do mumii na dnie sarkofagów wyciągniętych, lecz w białym świetle, które sałę przez nie osłonięte okna zalewało, jak wypuklorzeźby z żółtego wosku odrzynały się od bielizny pościeli twarze z rysami przez wychudnięcie zaostrzonymi i oczyma pałającymi gorączką lub bólem. I jak nad mumiami, gdy dźwignięte są w górę wieka sarkofagów, unosiły się nad postaciami tymi wonie mdłe, cikliwe, wonie ziół i minerałów na leki przerobionych, zaprawione z lekka zapachem krwi.

Ranieni w zbrojnych walkach z obydwojch stron walczących.

Na jednej z pościeli leżała postać od wszystkich innych mniejsza, w wyszczupleniu swym i spowijającej ją bieliźnie zupełnie mała; z daleka już poznać można było, że dziecinnie. Wychudła była, twarz miała żółtą, z rysami wyostrzonymi i oczyma, które śród nich błękitnością turkusów świeciły.

Gdy pani Teresa po raz pierwszy do sali tej wchodziła, dziecko to krzyknęło: „Mama!” i ruchem namiętnym padło w objęcia, które je długo obejmowały, kołysały, do piersi tuliły bez słów. A potem:

— Robaku mój! Skarbie mój! Dziecko ty moje nieszczęśliwe, najmilsze! A cóżeście wy najlepszego razem z Jankiem uczynili! Czyż ja mogłam przypuszczać, aby wam to w głowach powstać mogło! Toż dzieciaki z was jeszcze, siły nie mające, nic o takich rzeczach nie wiedzące i nie umiejące... Ach, złe wy dzieciaki, niegodziwe, żeby taką biedę na siebie i na mnie...

On, ręce jej pocałunkami pożerając, ze szlochami szeptał:

— Niech mamusia nie gniewa się, niech mamusia przebaczy... my mamcię nieszczęśliwą uczynili, ale myśmy myśleli, nam zdawało się, my w sobie czuli...

Z nową mocą w ramiona go schwyła, już pocieszając, szepcząc:

— Podrzuciło was coś w górę, biedaki moje, jak te listeczki, które wiatr podrzuci ku niebu wysokiemu, ku pięknej gwieździe was podrzuciło... ale przedwcześnie, ale nadaremnie! Chwała Bogu, że żyjecie! Dorośnięcie i wtedy... A ja na was nie gniewam się, nie! Za podłe chęci, za podłe postęпки ja bym was karała, przekleła... A tak to tylko niedorosłość rozumków waszych... nieszczęście...

I zaraz:

— Jakże tam z raną twoją? Czy bardzo boli? Ach, ty robaku mój, biedaku, dzieciaku niegodziwy, najdroższy...

Rana, którą Olek otrzymał, śmiertelna nie była, jednak była ciężka. Coś mu w ramieniu kula kozacka porwała czy zgruchotała, tak że dotąd nie wiadomo było, czy kie-

dykolwiek całkowitą władzę w nim odzyska; przy tym na koniach kozackich, na wozach trzęsących bez opatrunku dziesięć mil wieziony, krwi mnóstwo utracił i matczyne tylko oczy poznać w nim teraz mogły pызatego, rumianego chłopca, który gdy policzki wydał i sapać począł, samowar czy miech kowalski obecnym się przypominał, a gdy się z czego cieszył, to z ramionami w półkrąg nad głową wyciągniętymi na łokieć wysoko podskakiwał.

Inaczej wcale niż Olek powitał matkę Janek.

W celi więziennej, którą z towarzyszem daleko od siebie starszym podzielał, znalazła go milczącym, zamkniętym w sobie, nie po dziecinnemu jakoś ponurym i smutnym. Ręce matki ucałował, ale nie przeproszał, o nic i o nikogo nie zapytywał, mówił mało i niechętnie, w ziemię albo kędyś w stronę ze zmarszczką na czole chłopięcym patrzył. Zaciął się, zaskalił się w uczuciu i myśli, że uczynił dobrze, że uczynić tak był powinien i że tylko nie udało się. Żądłem w sercu, goryczą w piersi, wstydem na twarzy nieudanie się to mu osiadło. Czasem wyglądał tak, jakby nagle śruba bólu wkręcać się mu w serce zaczynała; z ust wykrzywionych syknięcie wychodziło, wzrok stawał się osłupiały albo błędny.

Raz pokazał matce czerwonosine pręgi i plamy, które na szyi, rękach, plecach miał od kozackich nahajek i żołnierskich kolb, a pokazawszy rozplakał się głośno. Lecz wnet powściągnął płacz.

— Niech mama nie myśli, że ja z bólu! Nie bardzo boli, i o ból mniejsza! Ale jak oni... oni... jak oni... śmieli mnie bić.

Cała krew uderzyła mu do twarzy, szczupłe ręce zaciskały się w pięści tak mocno, że się paznokcie w dłonie aż wpiły.

Pani Teresa perswadowała.

— Moje dziecko! Wyście przecie strzelali do nich; cóż dziwnego...

Porywczo przerwał:

— Ja wiem! Ja wiem! Na wojnie jak na wojnie! I gdyby mnie byli ranili tak jak Olka albo i zabili... ale bić... bić... mnie nie mieli prawa! Ja nie niewolnik!

Pani Teresa dziwnie się uśmiechnęła. Boleśniejzszymi bywają czasem uśmiechy nad jęki. Z tym uśmiechem a z czołem w mnóstwo fałd zbiegłym syna w ramionach trzymając nad głową mu szeptała:

— Tyś niewolnik... biedny robaczku mój! Otóż to, żeś niewolnik ty... niewolnik...

Nieprędko odważyła się powiedzieć mu o tym, co stało się z Julkiem. Chłopak zbliadł bardzo i wargi tak drzeć, że aż latać mu zaczęły. Odwrócił się i z czołem do więziennego muru przyciśniętym namiętnie szeptał:

— Szczęśliwy Julek! Kochany, biedny Julek, szczęśliwy, szczęśliwy!

O tego syna swego pani Teresa więcej jeszcze niepokoiała się niż o tamtego. Tym, którzy ją o synów zapytywali, odpowiadała:

— Janek ciężej od Olka raniony... wewnętrzną ranę ma, utajoną, ale ja ją widzę... Ach, gdybym go do Leszczyнки i... gdybym ich obu do Leszczyнки zawieźć mogła... W mig obaj by wyzdrowieli... a tak... Bóg jeden wie... Bóg jeden chyba... obroni...

Leszczyńska! Palącą tęsknotą tryskające marzenie o raj, wśród tego brudnego, zakurzonego, kamieniami wysłanego, dusznego miasteczka, w tej sali szpitalnej...

Zaogniła się jakoś dnia pewnego rana Olka, dokuczać zaczęła, gorączkę sprowadziła. Pani Teresa w godzinie przepisanej na sposób żaden od dziecka cierpiącego oderwać się nie mogąc o możliwość pozostania przy nim przez noc całą straż i służbę szpitalną ubłagała. Powiedzieć można, że wyplakała sobie tę krótką noc letnią, która na zachodach około chorego, na cichych szeptaniach z nim jej zesła, aż on usnął, a ona w sali stękającymi oddechami śpiących i mdłymi zapachami leków napełnionej, przy odsłoniętym oknie siedząc i na szmat nieba porannego patrząc nagle jakoś i strasznie do Leszczyнки zatęskniła.

Teraz tam wzbijają się znad ziemi mgły poranne, jakby krepki białe rozwlekają się w powietrzu, znikają, a naprzeciw okna jej izdebki, jak raz naprzeciw tego okna występuje z ciemnej pręgi lasu rubinowa wstęga jutrzni...

Drzewa w ogrodzie stoją jak z kamieni wykute, tak nieruchome, jak w nieruchomości zakłęte i wsłuchane, w coś wsłuchane, choć nic nie słycać i cisza panuje taka, że szeleści

ptasiego skrzydła szumem wichru wydać się mógłby. Ale ptaki śpią jeszcze... Niemym powietrzem przelatują tylko lekkie chłodki — dreszcze świtu.

O! Przez minutę, przez jedną, odetchnąć tamtym powietrzem porannym, przeczytym...

I raz choćby spojrzeć na łan zoranej ziemi, co pod pręgą lasu i pod wstęgą zorzy wyciąga długie, ciemne zagony... na drzewa, których listowie od występującego zza jutrzni słońca dostaje złotych podszewek... na rosę, która po źdźbłach trawy, po ziarnach piasku, po liściach poczyna drgać, błyskać i grać...

Ach, zebrać, ach, zgarnąć w objęcia dzieci, wszystkie dzieci, które jej pozostały, i znaleźć się z nimi w Leszczynce. Jakie marzenie rajske, jakie pragnienie piekące, rozciągające ciało i duszę na torturach tęsknoty nieskończonej!...

Rozmarzyła się pani Teresa u okna sali szpitalnej siedząc, roz tęskniła się tęsknotą nieskończoną i przez trwanie godziny doświadczała męki głodu, który nasycony, i pragnienia, które napojone być nie mogło.

Ale był to w życiu jej tutejszym jakby sen, krótki sen i razem piekielny. Rzeczywistość twarda, sroga, pochłaniała ją, porywała, po bruku miasteczka wciąż z miejsca na miejsce nosiła.

Teraz niosła do Olka dobrą nowinę, że jeszcze czas jakiś w szpitalu zostać będzie mu wolno. Bo nie wiedzieć dlaczego dzieciak począł ogromnie lękać się turmy. Nie był w niej jeszcze, nie wiedział, jak wygląda, i stworzył o niej sobie wyobrażenie jakiegoś fantastycznego, straszne. Może dlatego, że był fizycznie słaby, albo że wyobraźnią jego wstrząsnęła owa scena leśna i potem jazda dziwna, fantastyczna, na koniu kozackim, w zmrokach zapadającej nocy. Tulił się do matki z błaganiami:

— Tylko niech mnie tam nie zabierają... niech mię nie zabierają do więzienia!...

A Inka, u biegu dwóch ulic z matką się rozstawszy, nie w kierunku mieszkania pani Awiczowej i jej córki poszła, ale w tym, który do pewnej mało uczęszczanej przechadzki publicznej prowadził.

Nie miała ochoty najmniejszej towarzyszyć matce do więzienia i szpitala. Małych braci żalowała czasem, że cierpią, ale były to chwile przelotne; w ogóle zaś nie czuła szczególnej do nich tęsknoty, a w zamian takie miejsca udręczeń i smutku jak więzienie i szpitale budziły w niej odrazę taką, jakiej doświadczać musi ryba do suchego piasku lub jakiej niektórzy ludzie na widok krwi i ran doświadczają. Od atmosfery cierpienia czyniło się jej mdło, nudno, słabo i zaraz po głowie chodzić zaczynały myśli, że wszystko to jakieś niepotrzebne, nieładne, nieznośne i że ona jest wcale do czego innego stworzona. Do czego mianowicie była stworzona, dokładnie tego przed sobą nie określała, ale nieraz widok fruujących ptaków i latających motyli nasuwał jej myśl: „Szczęśliwe, wolne! Bawią się sobie w blasku słonecznym, na kwiatkach!”

Dziś dążyła na spotkanie umówione, zaciekawiające i przyjemne; spóźnić się mogła, więc przyspieszała kroku, a oczy jej przy tym niezwykle błyszczwały.

Ta nowa znajoma jej, na której spotkanie spieszy, to bardzo, bardzo miła kobieta, może najmiłsza ze wszystkich znanych jej dotąd kobiet. Poznała ją wczoraj na przechadzce.

Bo jak w Leszczynce po wpółdzikim ogrodzie, tak tutaj po niedużym, już prawie zamiejskim parku często błądziła, bez celu, krokiem powolnym, czasem listki z krzaków smętnym ruchem zrywając, rojąc, na każdą postać spotykaną szeroko oczy ciekawe a prześliczne otwierając.

I wczoraj właśnie, gdy po długim takim wśród drzew błądzeniu na ławce pod drzewem usiadła, zbliżyła się do niej ta pani, która przedtem kilka razy na drogach i drózkach parku z nią się rozmijając z bardzo miłym uśmiechem jej się przypatrywała.

Nie bardzo już młoda, ale czerstwa i żwawa, trochę zanadto otyła, jednak zgrabna, w ślicznie zrobionej sukni z szeleszczącej ce-su-czy, gęsto koronkami przyozdobionej. Na czarnych włosach kapelusik złożony z kwiatów bzu, nad którymi małe, białe piórka bardzo lekkie, jak nici srebrnej pajęczyny powiewały. Wesóło się stawało od samego widoku tej twarzy okrągłej, rumianej, dobroduszej, jej oczu jak dwie czarne perelki świecących, jej liliowych bzów na głowie, piórek nad nimi polatujących i złotej biżuterii wśród koronek migocącej.

Na ławce obok Iny usiadła i wnet ku niej z ogromnie miłym uśmiechem się zwracając, ogromnie uprzejmym głosem przemówiła:

— Pozwólcie zaznajomić się! Ja was dawno już spotykam i patrząc na was dziwię się, że w takim brzydkim miasteczku taką jak wy piękność zobaczyć można.

Gorącym rumieńcem twarz Iny splonęła i w piersi uczuła rozlewającą się po niej rozkosz. Tak już dawno, dawno nikt na nią uwagi nie zwracał i nic podobnie miłego jej nie mówił. Z cicha, ale uprzejmie odpowiedziała, że nie mieszka stale w tym miasteczku, że ze wsi z matką przyjechała.

Nieznajoma zaśmiała się swobodnie, głośno.

— Wiem, wiem! Ja nawet wiem, jak się nazywacie i kto jest wasza matka. Ją także widuję na ulicy. Ot, można powiedzieć, że córka do matki niepodobna! Wy przy swej matce jak *kniabini* (księżna) przy chłopce wyglądacie...

Z pewnym zaniepokojeniem i zmieszaniem Ina przerwała:

— Moja mama zajęta bardzo zawsze... na ubieranie się i nic takiego nie ma czasu... ale bardzo zacna jest, dobra.

— Ależ ja nie o tym... nie o tym... — z energicznym gestem broniła się nieznajoma.

— Ona pewno najlepsza... to nawet widać... Tylko wy na jej córkę nie stworzona... Taka delikatna, biała z *kroszczonymi* (drobniutkimi) rączkami i nóżkami... *prosto kniabini, czudo!* (wprost księżna, cud!).

Oczkami świecącymi jak czarne perełki po całej postaci Inki wodziła, wyraz podziwu i zachwycenia twarz jej okrywał. Było w tym podziwieniu i w tym zachwyceniu coś dziwnego i szczerze naiwnego.

Jeżeli w zaznajamianiu się z Inką i miała uboczny cel jakiś, to jednak niewątpliwie sprawiło ono jej samej żywą przyjemność. Mówiła okaleczoną i wyrazami obcymi łataną polszczyzną, tak jak mówią ci, którzy niedokładnie jej się wyuczili albo niegdyś jako ojczystej używali, a potem zapomnieli. Z dalszego ciągu rozmowy okazało się, że była to dla nieznajomej mowa wpółojczysta. Śmiejąc się, mówiła:

— Ja troszkę Polka. U mnie ojciec *ruski* był, a matka Polka. Tak mnie troszkę czasem i ciągnie do Polaków...

Po twarzy Inki rozlał się wyraz zdziwienia.

— Wy zadziwili się! Czegóż wy tak zadziwili się! Nu, już wiem! Tego, że moja matka była Polka, a za ruskiego poszła. Cha, cha, cha, cha! U was predrazsudok (przesąd) jest, że tak żenić się albo za mąż wychodzić nie trzeba... Nu, *głupost'* to, *pustiaki!* (głupstwo, drobnostki). Biedną dziewczyną była i kiedy ją dobry los spotykał, czemu by z niego skorzystać nie miała? I czasy wtedy spokojniejsze były, ale to wszystko jedno. W każdym czasie *predrazsudki* to *głupost'* i tylko żyć ludziom przeszkadzają. *Adnakoż* (jednakże) trzeba, abym wam powiedziała, jak się nazywam i kto ja taka.

Powiedziała jakieś nazwisko i poprosiła, aby Inka ją Heleną Iwanówną nazwała. A mąż jej w wojsku służy i jest adiutantem kniazia Borysa Elpidorowicza.

Oczy Inki błysnęły i zupełnie pomimo woli, z nagłym ożywieniem twarzy powtórzyła:

— Kniazia!

Głośno, swobodnie zaśmiała się znowu Helena Iwanówna.

— Wiecie, kto to kniaź Borys! Zauważyliście go! Nic dziwnego! On u nas pierwszy *krasawiec* (piękność męska) w całym wojsku! A jaki dobry, miły człowiek! Z mężem moim jak brat z bratem żyje i ja sama duszę za niego... Ale pozwólcie dowiedzieć się, jak wasze imię.

— Ina.

Helena Iwanówną ucieszyła się czegoś tak bardzo, że aż w ręce białymi rękawiczkami ociągnięte klaskać zaczęła.

— A co? Tak on mnie i mówił. On, znaczy się kniaź, słyszał raz, jak matka na was imieniem tym wołała, a ja sprzeczałam się i mówiłam, że takiego imienia nie ma...

Wargami, które trochę drżały, Inka szepnęła:

— Kniaź mówił o mnie...

— A wy myślicie, że on nie mówi o was? My z mężem już całą *niedzielę* (tydzień) śmiejemy się z niego, że o niczym innym jak tylko o was mówić nie może. Boginią was nazywa: *C'est une déesse!* mówi. Wczoraj spotkał się z wami na ulicy i zaraz do mnie przyszedł. „Wiecie, Heleno Iwanówno — mówi — że gdyby ją do Petersburga zawieźć i na wielkim świecie pokazać, wszystkim by głowy pozawracać mogła”. A jemu samemu

to już i dobrze zawraca się od was w głowie. Nu, ale ja sobie gadam i gadam a mnie do domu czas! Pozwólcie dowiedzieć się, jak imię waszego ojca?

— Ojciec mój od dawna już nie żyje. Na imię było mu Julian.

— *Biedniaczka wy!* (biedniaczka) *tak rano* (wcześnie) bez ojca zostaliście i... i z taką matką! Nu, tak do widzenia, Ino Julianównu. A kiedy zobaczymy się? Może jutro znów na spacer tu przyjdziecie? I ja przyjdę. Pogadamy sobie i ja znowu na wasze liczko cudne popatrzę. A o której godzinie? U mnie o tej porze czasu najwięcej...

Umówiły się, że nazajutrz zejdą się znowu na tym miejscu, o godzinie czwartej, a teraz już nieco później jest i Ina śpieszy... śpieszy... Coś ją pcha, na skrzydłach niesie ku tej wystrojonej, wesołej kobiecie, która wczoraj mówiła jej rzeczy tak miłe, tak miłe, że aż spać w nocy nie mogła. Jakby jej kto wśród ciszy nocnej do ucha szeptał słowa: *C'est une déesse!* A potem: "O niczym więcej jak tylko o was mówić nie może". I jeszcze: Borys! Borys! Książ Borys! Ślicznie imię to brzmi...

Zaszleściła pomiędzy drzewami jedwabna suknia Heleny Iwanówny, inna niż wczoraj i jeszcze ładniejsza, jak srebrne pajęczynki rozwiewały się na kapeluszu jej małe, białe piórka, gdy ujrawszy Inę na jej spotkanie biegła. Kaczkowatym krokiem biegła i z uśmiechem radosnym ręce Iny pochwywszy w oba policzki ją ucałowała. Można by z powitania tego wnosić, że znają się od dawna i kochają się serdecznie. Ale też nie udaną i nie obłudną była serdeczność Heleny Iwanówny. Rubaszna i naiwna, była ona, owszem, samorzutna, szczerza. Potrzebna na coś Helenie Iwanównie była Ina, niewątpliwie, ale że podobała się jej i budziła w niej sympatię, to również było niewątpliwe.

— Przyszliście! Jak to dobrze! Myślałam już, że może nie przyjdziecie, i zaczynało mi robić się smutno! Ja was polubiła! Od pierwszego spojrzenia polubiła ja was za waszą młodość, za waszą pięknosć, za waszą jakąś taką... anielską... Już nie wiem, jak powiedzieć! Na was patrzeć to tak samo jak miód słodki jeść. Za wami wszyscy przepadać muszą! Powiedźcie prawdę: wielu już mężczyzn za wami się *włóczyło*? Wielu *na was* żenić się chciało? Może już *żenicha*... przepraszam... narzeczonego macie? A? Powiedźcie!

Pod czułym, wesołym i razem bystrym, świdrującym spojrzeniem czarnych, świecących oczek rumieniła się Ina, ale zarazem czuła nieopisaną błogość. Czowała, że jest przez tę kobietę lubiona, podziwiana, uwielbiana. Z cichym też uśmieszkiem szepnęła:

— Nikt jeszcze nie oświadczył się o mnie i narzeczonego nie mam. Osiemnaście lat dopiero zeszej zimy skończyłam.

— Toż to młodość! Boże mój! Jaka to śliczna rzecz taka pierwsza, *ranna* (wczesna) młodość! Wy, Ino Julianównu, jesteście jak kwiat, co jeszcze niezupełnie z *puczka* (pąka) się rozwinął... Ale zawszeż jak to być może, abyście *żenicha*, przepraszam... narzeczonego jeszcze nie mieli? Was już od matki porwać byli powinni... Wy już powinni być *niewiastą* (narzeczoną) albo i żoną jakiego polskiego pana, wielkiego pana... bo wam trzeba w złocie chodzić, karetami jeździć, na wielkim świecie błyszczeć... Jakim sposobem stało się, że tak nie jest jeszcze? Powiedźcie?

Inka z cicha i z wdziękiem wielkim historię okolicy swej w latach ostatnich opowiadać zaczęła. Żałoba narodowa od lat dwóch... tańców ani innych wesołych zebrań żadnych nie bywało. A potem wszyscy coraz więcej zajęci być poczęli rzeczami poważnymi, publicznymi i nikt o zabawach ani różnych... takich rzeczach wcale nie myślał...

Helena Iwanówna z politowaniem żalonym i razem wzgardliwym głową wstrząsać zaczęła.

— O *miatieżu* (o buncie) myśleli... do *miatieża* przygotowywali się... do nieszczęścia swego... do zguby swojej...

I zaczęła ubolewać nad nierozwągą, nad szaleństwem tych, którzy głowami swymi mur przebić próbowali, którzy z motyką na wojnę przeciwko słońcu wybrali się, którzy zdrowe szyje dobrowolnie pod ostry miecz wyciągali, bo Rosja to mur, to słońce, to miecz... a oni co? Wariacja jakaś chyba do nich przystąpiła! I po co? O co? Za co?

Ina nieśmiało szepnęła:

— Za ojczyznę!

— *Zostawcie!* (dajcie pokój), Ino Julianównu! — zaśmiała się Helena Iwanówna. — Wy taka młodziutka, powtarzacie, coście słyszeli... wierzycie w to, w co wam wierzyc przykazano, a tymczasem na szerokim świecie, którego nie znacie...

Mówić zaczęła o tym, że na szerokim świecie wszyscy rozumni ludzie od dawna już w takie *predrazsudki* (przesady) wierzyć przestali. Ziemia wszędzie jest jednakowa i słońce jednakowe i człowiek szczęśliwy albo nieszczęśliwy być może tak samo w jednym kraju jak i w innym. Ot, na przykład matka jej: Polką urodziła się, za *ruskiego* poszła i cóż jej złego stało się? Nic wcale. *Naprzeciw*(przeciwnie). Wesoło sobie życie przeżyła i ją, córkę swoją, przed śmiercią dobrze za mąż wydała. Albo książę Borys Elpidorowicz. Przecież ojciec jego Czerkiesem był i za młodu nawet do zbuntowanych należał, razem z Szamilem przeciwko Rosji wojował, ale potem do rozumu przyszedł, wiarę *ruską* przyjął, *na ruskiej* ożenił się, wielkim generałem został i ot, syn jego o czerkiestwie swoim już i zapomniał! Takich ludzi na świecie pełno jest i to są rozumni ludzie. Bo jeżeli nawet i *dopuszczać* (przypuszczać) pojęcie ojczyzny, to przecież do wielkiej, silnej, szczęśliwej przyjemniej i wygodniej jest należeć niż do małej, słabej, *upokorzonej* (podbitej). Trzeba tylko rozum mieć, a zaraz pokaże się, że wszystkie te *predrazsudki* to tylko męki różne ludziom zadają, a czasem nawet i zgubę im przynoszą, jak teraz na przykład tym, którzy ten bezrozumny *miatież* podnieśli...

Mówiła z przejęciem się, z zapalem. Znać było, że we wszystko, co mówi, bardzo szczerze i bardzo naiwnie wierzy. Małe, białe piórka trzęsąc się nad jej kapeluszem słowom jej potakiwać się zdawały. A Ina w milczeniu, nie potakując i nie zaprzeczając, słuchała. Zaprzeczać odwagi by może nie miała, bo Helena Iwanówna wydawała się jej kobietą rozumną i świat dobrze znającą, ale i chęci nie czuła, bo słowa słyszane zgodnie jakoś odpowiadały temu, o czym przelotne, lękliwe i niejasne myśli przez własną jej głowę przelatowały. Milczała i ze smutnie pochyloną twarzą oskubywała listki z zerwanej przedtem gałązki krzewu. Aż na zatrudnionych tą robotą drobnych jej rękach spoczęła pulchna, białą rękawiczką ociągnięta dłoń Heleny Iwanówny.

— Czego wy taka smutna, Ino Julianówno! Wam do twarzy z tym smutkiem, ale mnie was żal i ja by chciała pocieszyć was, rozweselić! I książę zauważył, że u was wyraz twarzy taki smutny czasem, smutny. Wczoraj on do mnie mówił: „Ona, Heleno Iwanówno, z tym swoim smutkiem tak wygląda, jak *anioł* (anioł), któremu do nieba ulecieć chce się... Ale ja by zobaczyć żądał, jak ona śmieje się... Mnie ciekawość bierze zobaczyć, jak ona wygląda, kiedy ją wesołość opanuje, kiedy szczęście na twarzy jej zaświeci”. Nu, to wy, Ino Julianówno jak kiedy jego spotkacie, uśmiechnijcie się, wesoło uśmiechnijcie się... on taki szczęśliwy będzie... Ale co to? Widzicie? Jakie to przysłowie polskie... moja matka często je powtarzała... O wilku mowa, a wilk...

Umilkła i rozpromieniona z uśmiechem szerokim ku nadchodzącemu kniaziowi przyjacielsko i porozumiewawczo głową wstrząsać zaczęła.

Wśród drzew małego parku w świetnym mundurze, wyprostowany, wysoki, zgrabny, iskrzący się i błyszczący, szedł krokiem swoim równym, silnym, z lekka srebrem ostrogi brzęczącym i w pobliżu dwóch kobiet na ławce siedzących znalazł się, rękę ku czołu w ukłonie wojskowym podniósł. Ale na Helenę Iwanównę, którą ukłonem tym witał, nie patrzył. Spod brwi kruczych czarne jego spojrzenie w twarzy Iny utkwione było z takim wyrazem, jakby ją nim przebić, spalić lub wchłonąć w siebie pragnął.

A ona z oczyma ku niemu podniesionymi, z luną rumieńca na twarzy uśmiechnęła się. Uśmiech to był figlarny trochę i rzewny, trochę nieśmiały i zalotny. Jemu zaś na twarz sprowadził błyskawicę radości, w której zajaśniała, zadrgała i rozbłysła wzajemnym uśmiechem koralowych warg. Nie zatrzymał się jednak, kroku nawet nie zwolnił, poszedł dalej i wkrótce za drzewami zniknął.

Helena Iwanówna, cała jakaś roześmiana, rozedrgana, szeptała:

— Dlatego nie zatrzymał się i przy nas nie usiadł, że jemu nie wypada. Na takim wysokim *postie* (stanowisku) znajduje się, że ostrożny być musi i na każdy swój krok zważający. Ale przeszedł tędy, to tylko dlatego, ażeby na was spojrzeć. Jemu tędy droga nigdzie nie prowadzi, tylko słyszał ode mnie, że wy tu o tej porze... Ale czego wy tak pobledliście, gołąbko? Czego wy taka staliście się bledziutka? Serduszko widać zabiło mocno? Co? Powiedzcie szczerze. Ja nikomu nie powiem... Polki skryte są, wiem o tym, i dumne... one o lubieniu swoim niełatwo mówią... ale wy inna niż wszystkie... młodziutka, szczerą, taką prostą... powiedzcie, zabiło mocno serduszko? Podoba się wam nasz książę *krasowiec*, co? Co?

Ina rzeczywiście pobladła tak, jakby krew wszystka do serca jej zbiegła. Z twarzą pochyloną i piersią szybko dyszącą odszepnęła:

— Tak. Bardzo!

A Helena Iwanówna, nisko ku niej pochylona, mówić zaczęła, że cóż w tym dziwnego, że to takie proste, naturalne i nawet śliczne, poetyczne, wzruszające. Oboje młodzi, piękni! On, choć młody, taką karierę już zrobił, tak wysoko stanął i stanie wyżej jeszcze, bo tu, w miasteczku tym i w tym kraju nie zostanie długo, nie! Lada tydzień, lada dzień może otrzyma wezwanie do stolicy na stanowisko wyższe... A jaki dobry! Dopóty starał się, prosił, pisał, dopóki i dla męża Heleny Iwanówny miejsca wyższego i znowu u boku swego nie otrzymał. I oni więc oboje razem z nim do stolicy wyjadą lada dzień, lada tydzień, czego zresztą Helena Iwanówna bardzo pragnie, bo tu żyć niewesoło. Co za porównanie z życiem w takim Petersburgu! Nu, ale jej pora do domu powracać...

Wstała z ławki.

— Ach! Jak mnie trudno rozstawać się z wami! Nu, polubiłaż ja was! Ot, wiecie co? Chodźcie wy do mnie! Odwiedźcie mnie! Zaprowadzę was do mieszkania swego! Chodźcie, duszeńka, gołąbka!

Serdecznie, mocno ręce Iny w swoich ścisłała, w oczy jej czule patrząc.

Nigdy może niczego Ina nie pragnęła tak gorąco jak pójść z tą kobietą i słuchać ją mówiącą o jej piękności i... o kniaziu. Jednak wahała się.

— Nie wiem doprawdy... bo gdyby mama dowiedziała się... gdyby znajomi...

Śmiechem znowu wesołym i trochę urągłym wybuchła Helena Iwanówna.

— Matki boicie się! Tęgo, co znajomi o was powiedzą! *Glupost', broście* (porzućcie) wy te *glupości*, Ino Julianówno! U was, Polaków, *predrazsudok propast'*! Jak zaczniecie: A Pan Bóg? A ojczyzna? A matka i ojciec? A grzech? A *ksiondz*? A ludzie? To człowiek w tym całe swoje szczęście utopić może! *Broście* to wszystko! Chodźcie do mnie! Pokażę wam dwie suknie, które mi mąż w *siurpryz* (niespodzianka) z Petersburga sprowadził. Nikogo teraz nie będzie u mnie. We dwie sobie pogadamy. Czekolady filiżankę wypijecie. Chodźcie!

Ina ruchem nagłym, z oczyma nagle roziskrzonymi, ramię na szyję jej zarzuciła i miękkimi swymi, kocimi ruchami; cała przytulając się do niej, zaszepnęła:

— Pani dla mnie taka jest dobra, dobra! Nikt dla mnie tak dobrym nie jest jak pani! U nas wszyscy czym innym zajęci i ja zawsze sama jedna... sama jedna... marzę... tęsknię... I mnie nikt nie rozumie... Pani jedna mnie zrozumiała... Z panią tak miło, tak wesoło, przyjemnie. Pójdę! Niech już tam sobie, co chce, będzie! Pójdę z panią! Chodźmy!

VI

Prawdę mówiła Inie Helena Iwanówna, że lada dzień lub tydzień kniaź na stanowisko wojskowe inne mianowany i do stolicy państwa wezwany miał zostać.

Niewiele dni minęło, odkąd Ina po raz pierwszy nową znajomą swą odwiedziła, gdy po miasteczku rozbiegła się wieść, że kniaź bardzo wkrótce ma je opuścić, a na urządzie, przez niego dotąd sprawianym, zastąpi go ktoś inny.

I wnet nad myślą, wyobraźnią, nadziejami i obawami mnóstwa ludzi potężnie zapawał krótki wyraz: kto?

W momentach głębokich skłóceń, burzliwych zbałwanień uczuć i spraw ludzkich, gdy spomiędzy nich znika spokojna postać prawa, a z mieczami zapędliwymi w czerwonych rękach zawisają nad nimi gniew i zemsta, wagi niezmiernej nabiera ręka oręż gniewu i zemsty dzierzżąca.

Bywają wówczas ręce więcej albo mniej czerwone; takie, które zabijają, i takie, które tylko ranią, takie, które wytaczają morza łez i krwi, i takie, spod których wylewają się tylko ich strumienie.

I bywają również na ziemi takie momenty i miejsca, w których rany srogie miast śmiertelnych, strumienie łez i krwi miast ich morza — wydają się szczęściem.

Spomiędzy czerwonych rąk, które teraz nad krajem tym zawisły, ręka kniazia nie była najczerwieńsza. Była ona od wielu innych mniej zacięta i mściwa.

Może dlatego, że płynęła w niej krew ludu niedawno jeszcze wolnego i wolność swą miłującego albo że kierowało nią serce w stronę radości życia całe przechylone, jej tylko namiętnie pożądaną, a we wszystkim innym widzące jedynie drogi, które do niej wiodły.

Nie była to już wiosna, lecz był to już prawie schyłek lata. Była to pora odlotów nadziei, nalotów klęsk.

Mury gmachu więziennego rozsadzała liczba mieszkańców coraz wzbierająca, więc przelewano ją do budynków innych, licznych, bagnietami zbrojnych straży najeżonych. Deszcz wyroków spadał na dachy tych budynków i wyprowadzał spod nich ludzi na Sybir, do katorgi, na szubienicę. Padał deszcz ten spod rąk sędziów. Tutaj sędzią najwyższym był dotąd kniaź, a teraz...

Kto? Jaki? Co zmiana przyniesie?

Dla tłumu głów osiwiających i głów niewieścich, które się tu dokoła więzień zbiegły, była to zagadka ociekająca krwią. I było to widmo czegoś niewiadomego, na którym serca i wyobraźnie upatrywały mniej albo więcej gęste plamy krwi. Serca drżały, wyobraźnie bujały po polach grozy.

Pani Teresa miała dotąd nadzieję, że chłopcy oddani jej zostaną. Kniaź był dla niej uprzejmy, coraz więcej nawet uprzejmy, a przy tym roztargniony, czymś dalekim zajęty.

— Śledztwo jeszcze nie skończone — mówił — bądźcie cierpliwi; gdy śledztwo skończone będzie, zobaczymy, co z waszymi małymi *gierojami* robić...

I zaraz o czym innym bardzo widocznie myśleć zaczynał. Nie przywiązywał do postępków dzieci tych wagi zbyt wielkiej...

„Może sam braci młodszych, małych jeszcze ma — myślała pani Teresa — albo po prostu serce dobre. Czemuż by nie? W każdym narodzie zdarzają się ludzie źli i ludzie dobrzy...”

A teraz ten nowy jakiś przyjedzie... przed samym wyrokiem właśnie. Jakiś człowiek nowy, niewiadomy, nieznany, obcy, może nienawidzący, może okrutny wyrok na Janka i Olka wydawać będzie.

W głowie jej się od myśli tej mąciło i żądło bólu tak w serce kłuło, piekło, że nigdzie długo ustać ani usiedzieć nie mogąc, prędzej jeszcze niż zwykle od znajomych do znajomych biegała po wiadomości, po rady.

Wiadomości? Jakież? Nikt jeszcze nic nie wiedział. A rady? Jedna tylko była: czekać cierpliwie.

Pani Teresa w gniew wpadała.

— Także rada! Cierpliwa mam być, kiedy mi dzieci w oczach nikną!

Istotnie, do nieruchomości i zamknięcia więziennego, do napelniającego cele więziennego wiecznego zmroku nienawykli chłopcy w oczach nikli, na kształt kwiatów powietrza i słońca pozbawionych wędli. Obaj już teraz byli w turmie, ale nie razem. Widywać się nawet im nie pozwolono. Śledztwo skończone jeszcze nie było. Świadców wezwano: Telezuka, żonę jego, włościan ze wsi najbliższej z Leszczynek sąsiadującej. Wśród ogromnego nawału spraw żadnej rychło załatwić nie było podobna.

Janek tymczasem coraz głębiej pogrązał się w tej melancholii dziwnej, w którą czasem nieszczęśliwe dzieci zapadają. Zdawać się może wtedy, że drobne duszyczki ich kołyszą się nad otchłanią, której ciemności przejrzyć nie umieją i znad której odlecieć nie mogą. Raz w przystępie rozczulenia zwierzył się matce.

— Mnie ciągle i ciągle chodzą po głowie myśli, dlaczego świat jest taki! Dlaczego są na nim takie niesprawiedliwości i nieszczęścia? Dlaczego ludzie nie są lepsi? Dlaczego z chęci i zamiarów najlepszych skutki najgorsze wynikają? A kiedy tak już na świecie jest i być musi, to — po co żyć! I tak mi czasem, mamciu, nie chce się już żyć! I tak mi źle... chciałbym nie myśleć o tych rzeczach... ale nie mogę... muszę... Mamcia mówi, że trzeba zgadzać się z wolą Boga, bo On mądry jest i wie, dlaczego tak świat stworzył... To prawda... ja wiem... chciałabym... ale nie mogę... I tak mi źle...

Z głową obu dłońmi objętą, zgarbiony, w podłogę więzienia wpatrzony jak mały desperat zwątloną postać swą w obie strony kołysał.

I dusza jego niedorośla kołysała się nad otchłanią życia w demony zamieszkujące ją wpatrzona, truchlejąca...

Innym razem przez całe dwa dni żywności żadnej tknąć nie chciał i na błagania matki głuchy, rozjątrzony, ponury, w ciemnym kącie celi siedząc milczał tak uparcie, że ani jednego słowa wydobyć z niego nie mogła. A na trzeci dzień, gdy przyszła, ukląkł przed nią i wyznał, że postanowił być życie sobie odebrać... Innego sposobu żadnego nie mając,

przez zagłodzenie się... Ale to bardzo trudny sposób, długi... nie wytrzymał, okropnie się wstydzi tego, że nie wytrzymał, choć z drugiej strony może to i dobrze stało się, bo tej jeszcze przykrości matce nie sprawił...

Tym razem nie sprawił, ale któż panią Teresę mógł upewnić, że innym razem znowu ta sama myśl nie zaświta mu w głowie, która znajdzie sposób łatwiejszy, krótszy...

A z Olkiem inna znowu była bieda. Tego rana zupełnie jakoś zagoić się nie mogła i osłabiony, coraz chudszy, ciągle matkę o przebaczenie błagał, do stóp jej rzucając się, płacząc. Poczucie winy popełnionej tak głęboko w serce dziecinne mu zapadło, że aż obudziło w nim skruczę wyegzaltowaną i niezdrową. U nóg matki leżąc, najsroźszymi wyrzutami siebie samego obarczał, przestrogi im obu przez Julka dawane przypominał i powtarzał. Pani Teresa gniewem udanym uspokajając go próbowała.

— Także mazgajstwo! Płaksa i mazgaj jesteś!

Ale na wspomnienie o Julku sama zalała się łzami i malca od stóp swoich podźwi-gnąwszy, na ławie obok siebie sadząc, zapytywała:

— Cóż więcej wam powiedział? Co on wam w czasie ostatniej tej przechadzki z wami mówił? Przypomnij sobie dobrze... powtórz wszystko...

A gdy Olek słowa brata dobrze zapamiętane powtarzał, jej się zdawało, że słyszy głos z tamtego świata mówiący, i zapragnęła, ach, jak zapragnęła przestąpić granicę dwóch światów i na tamtym najstarszemu dziecku swojemu, najrozumniejszemu, najlepszemu, na pierś już męską, na pierś już opiekuńczą, przyjacielską paść krzycząc: „Patrz, jakam ja biedna, ratuj!”

Oprócz tej biedy z synami uwięzionymi miała jedną jeszcze, gorzką i ciężką, o której nikomu nie mówiła, którą owszem, przed ludźmi tała, lecz o której myślała, gdy czerwoną kokardą swą, dobrze już przybrudzoną i zgniecioną z daleka świecąc, od Janka i Olka do mieszkania swego ulicami miasteczka biegła.

Przez okno jednego z niskich domków patrzyła na nią biegnącą kilka znajomych twarzy i jedna wskazując ją innym wymówiła:

— Hekuba!

Młodziutki głosik jakiś zapytał:

— Co to Hekuba?

A ten sam co wprzód wyjaśnić począł:

— Priama, trojańskiego króla żona, która u zwałisk Troi z żalu po synach pobitych i córkach porwanych...

Ktoś inny przerwał:

— Przecież pani Teresa synów tylko... a córki...

Inne głosy mówić, szeptać zaczęły:

— Kto wie? Kto wie? Kto wie, co stać się może z córką jej... Iną?

Z Iną działy się rzeczy niezwykle, dla których rozpoznania pani Teresa nie miała dość czasu i swobodnej myśli, lecz które sprawiały na niej wrażenie mętnego, niewyraźnego, snującego się dokoła niej widma. Niby nic; żadnego widocznego objawu nieszczęścia, ale jakiś gorzki oddech, który zbliżanie się jego zapowiada. Coś nieokreślonego a dokuczającego powtarzającymi się wciąż ukłuciami w serce. Coś, czemu zapobiec i czego odpierać niepodobna, bo nie ma wyraźnej przyczyny i nazwy, co jednak jest, nadchodzi, czyha, wyziewa z siebie wonie trucizny i pierwsze błyskawice burzy.

Ginęła matce z oczu Inka na długie godziny, a zapytana, gdzie była, usiłowała zrazu tłumaczyć się albo pieszczotami usta matce zamykać, lecz pani Teresa spostrzegła i czuła, że tłumaczenia były wykrętne, pieszczoty nieszczerze. Wkrótce przecież i one ustały. Odpowiedzi Inki stawały się coraz śmielsze, hardsze, często gniewne i niemal wzgardliwe.

— Gdzie byłaś? Dlaczego powracasz tak późno? Mówiłaś, że całą połowę dnia u Konieckich spędzisz. Wiem, że tam ani zajrzałaś. Gdzież więc byłaś?

Inka, która w swoim nowym kapelusiku do izdebki była wbiegła, stanęła jak wryta.

— Moja mamo! Byłam, gdzie mi się podobało... Każdy człowiek na świecie idzie, gdzie chce, i robi, co mu się podoba, a ja przecież niewolnicą niczyją nie jestem i te wieczne indagacje mamy są dla mnie nieznośne, okropne...

Mówiąc to szarpała zdejmowane z rąk rękawiczki i gorączkowo zarumieniona, niezwykle błyszczącymi oczyma nie na matkę, lecz kędyś w stronę ukośnym, rozjątrzoną spojrzaniem patrzyła. Była wtedy upostaciowaniem uporu i zniecierpliwienia wrzącego

powstrzymywanym gniewem. Nie zawsze jednak mogła czy chciała powściągnąć gniew. Wybuchał z niej czasem słowami, których niepodobna było spodziewać się z usteczek tak drobnych, różowych, słodkich.

— Ja nie wariatka, aby mnie trzeba było pod kuratelę brać, i niech mama faworytów swoich, Janka i Olka, którzy tyle biedy narobili, musztruje, ale nie mnie, która dorosła jestem i wiem, czego mi trzeba i co robię.

U tej delikatnej, powiewnej, słodkiej i smętnej dziewczyny z samego dna natury jej zapewne dobywały się szorstkie, grube pierwiastki i było to jakby osuwanie się zasłon aksamitnych z nieociosanego drewna.

Zdumiona i przerażona pani Teresa ręce załamywała.

— Bój się Boga, Inka, po jakimu to do mnie mówisz? Także ton! Także sposób mówienia do matki!

Z wyraźnym obrzydzeniem końcami palców Inka zdejmowała ze stołu nie dojedzoną przez panią Teresę kromkę razowego chleba i szklankę wypitym przez nią mlekiem pobieloną. Drwiący uśmiezek odpowiedzi jej towarzyszył.

— Czy to do matki innym tonem jak do innych ludzi mówić trzeba? Wiem, wiem, słyszałam... Ale są to, moja mammo, przesady, o których dawno już rozumni ludzie zapomnieli, i tylko... u nas jeszcze...

Milkła, bo teraz pani Teresa w uniesienie wpadała, gniewem wybuchła, wyrzuty jej czyniąc, natarczywie zapytując: kto jej głupstw takich do głowy nakładł? Kogo widuje? Do kogo chodzi? Jakie szaleństwo do głowy jej przystąpiło? Dlaczego teraz wygląda ciągle tak, jakby w gorączce była, jakby nie wiedziała sama, co mówi lub czyni?

Inka najczęściej nie tłumaczyła się, nie odpowiadała; czasem jednak gwałtownym jakby poruszeniem wewnętrznym rzucona przypadła do matki, klękała przed nią i z głową do kolan jej przyciśniętą jęczała:

— Nie mogę, mamciu, nie mogę inaczej... nie mogę inną być... nie mogę...

Wtedy pani Teresa obejmowała ją, włosy jej głaskała, prosiła:

— Czego nie możesz? Co ci jest? Co ci się stało? Iniu moja! Córku! Powiedz! Wszystko matce powiedz... wytłumacz... uspokój mnie...

Ale ona już zrywała się z ziemi i odchodziła mówiąc:

— Nic, nic, moja mammo! Po co ja mam mówić, kiedy mama nie zrozumie mnie, nie zgodzi się ze mną... my, ja i mama, takie różne jesteśmy, takie inne...

I już słów matki zdawała się nie słyszeć, kędyś daleko, daleko zapatrzona, ku czemuś dalekiemu uśmiechnięta, kędyś daleko myślą, utęsknieniem, marzeniem przebywająca.

Myślą, marzeniem, utęsknieniem przebywała ciągle w ładnie umeblowanym, pachnącym buduaru Heleny Iwanówny, w którym wiele chwil miłych, a kilka cudnych już przeżyła. Kilka już razy jednocześnie z nią na czekoladzie u Heleny Iwanówny był — kniaź.

O, cudne chwile, wrażeń nowych i rozkosznych pełne, od szarej, prozaicznej rzeczywistości dalekie, dalekie — poetyczne, śliczne!

O, śliczny, miły, zgrabny, wytworny, z takimi oczyma wymownymi — człowiek!

Książę! Książę! Jak ten wyraz brzmi dziwnie! Tak zupełnie, jakby blaski złota i kolory tęczy, i jeszcze tony wspaniałej muzyki rozlewały się w powietrzu.

Rozmawiali z sobą po francusku. Ona do języków obcych ma zdolność wielką i tego przez cztery lata u pani Awiczowej spędzone wyuczyła się wcale nieźle. Ach, jak on widocznie ucieszył się, gdy usłyszał ją mówiącą po francusku. Może myślał, że nie będą mogli rozmawiać z sobą z powodu tej różnicy języków. *Jeszcze by!* Jak mówi Helena Iwanówna.

Ale bo i po co na świecie są te wszystkie pomiędzy ludźmi różnice! Ot, żyliby ludzie z sobą w zgodzie, jednostajnie mówiąc, czując, wierząc i wszystkim byłoby dobrze, i wszystkich by nieszczęść tych nie było. Prawdę mówi Helena Iwanówna, że tylko przesady ludziom na drodze do szczęścia stają. To jest kobieta bardzo rozumna i dowcipna. Jak zabawnie wyśmiewała wczoraj wiarę w to, że Pan Bóg słucha w niebie tych pacierzy, które ludzie tu na ziemi szepczą. „W drugim pokoju — mówiła — siedzisz i nie słyszysz, a jakże z takiej dalekości słyszeć by miał? Wszystko to są przesady — mówiła. — Pozbyć się ich tylko trzeba, a zaraz wszyscy na świecie ludzie staną się szczęśliwi i weseli...”

Może też *oni* są tacy weseli, że pozbyli się, jeżeli nie wszystkich jeszcze, to wielu przesądów? Ach, jacy oni weseli! Raz na czekoladę oprócz kniazia i adiutanta jego, mąż Heleny Iwanówny, przyszedł, kilku oficerów z sobą przyprowadzając, wkrótce też dwie panie jakieś wbiegły, ślicznie ubrane, młode jeszcze, ładne. Powstał ruch, gwar, wszyscy dokoła okrągłego stołu w jadalnym pokoju zasiedli, ale nie wszyscy czekoladę pić chcieli, więc gospodarz domu do służącego zawołał o wino szampańskie, które gdy przyniesiono i pić zaczęto, wesołość stała się taka, jakiej Ina nigdy jeszcze w życiu swoim nie widziała. Wesołość to była swobodna, głośna, poufna, pełna gestów szerokich, śmiechów jak grzmoty głośnych, komplementów składanych pięknym rączkom, nóżkom, oczkom. Toasty różne wznoszono, a kiedy adiutant kieliszek swój podnosząc wniósł zdrowie Iny Julianówny, to wszyscy jak krzyknęli jednym głosem: „Hurrra!”, to aż szyby w oknach zabrzęczały; ją zaś, Inę, czy od wina wypitego, czy od rozmaitych napędzających ją uczuć ogarnęła wesołość taka, jakiej dotąd nigdy nie doświadczała. Dziękowała wszystkim, kłaniała się, na komplementy śmiało odpowiadała, a z żartów, które dokoła krążyły, śmiała się tak głośno i swobodnie jak nigdy. Wtedy kniaz, który obok niej siedział i przez cały czas różne miłe jej rzeczy mówił, szeptać zaczął, że on zawsze widzieć ją pragnie wesołą, szczęśliwą, bo nie ma na świecie takiego szczęścia, które by samo do stóp jej nie upadło prosząc, aby przyjąć je chciała.

I nie wiadomo, co powiedziałyby więcej, bo w tej właśnie chwili zaszło coś takiego, co wszystkich jakby ukropem oblało czy lodem obłożyło. Jedna z tych pań, które tam były, ni stąd, ni zowąd zaczęła przez stół bardzo głośno i ze śmiechem mówić do kniazia coś — o jego żonie, że niby ona z Kaukazu, gdzie przebywa, przez lunetę na niego patrząc widzi, jak on się tu znajduje i... coś tam jeszcze podobnego. Na twarz kniazia chmura spadła ciemna i groźna. Helena Iwanówna oczyma i rękoma znaki jakieś do mówiącej robiła i wszyscy z nadzwyczajnym pośpiechem, głośniejsze jeszcze niż przedtem rozmawiać o różnych rzeczach zaczęli, ale czuć było, że coś niedobrego zaszło, że zgrzyt jakiś przerwał harmonię, która dotychczas w towarzystwie tym panowała.

A jej, Inie, zrobiło się niewypowiedzianie żałośnie i smutno. Nie umiała powiedzieć dlaczego, ale wiadomość, że kniaz jest żonaty, całą jej pierś nagle łzami napęliła. Nie chciała okazać tego, ale Helena Iwanówna sama spostrzec musiała, bo przybiegła i za szyję ją objąwszy w samo ucho szeptała:

— *Niczewo!* (nic to) *duszeńka!* *Niczewo!* On żonaty i razem nieżonaty! Ja ci to później opowiem i wytłumaczę.

A potem do fortepianu usiadła i z wielkim zapalem bardzo hucznie walca grać zaczęła, przy czym zaraz utworzyły się dwie pary tancerzy i stół dokoła w walcu obiegać zaczęły. Kniaz po chwili wstał także i z ukłonem do tańca ją zaprosił. Wyprostowany, brzękiem ostróg tylko kłaniał się i wzrokiem tylko — ale jakim! prosił. Ona od dwóch już lat przez cały czas żaloby narodowej nie tańczyła wcale, a za tańcem przepadała i wiedziała, że tańczy bardzo ładnie. Czula sama, że jest cała różowa i że w całej sobie ma dziwne gorąco i drżenie. Stała przed nim ze spuszczonej powiekami, podnieść ich nie mogąc, a on kibić jej ramieniem opasał i uniósł w taniec. Ale raz tylko stół okrągły dokoła w walcu obiegli, po czym znalazła się w saloniku sąsiednim, w którym nie było nikogo. I tu... Ach! Dalej już Inka wspomnień swych w słowa przyoblekać nie mogła. W głowie jej się mąciło, oddech w piersi ustawał, siły omdlewały... Na klęczkach przed sobą go widziała i...

A to, że kniaz Borys jest żonaty, znaczenia żadnego nie ma, gdyż Helena Iwanówna wytłumaczyła jej, że ożenił się nadzwyczaj młodo, z namowy rodziców czy tam krewnych, nigdy kobiety tej nie kochał, a teraz nienawidzi jej i do rozwodu z nią idzie. Wkrótce też rozwód otrzyma i wolny będzie. Czyż nie mówił jej zresztą wówczas, w tym pustym saloniku, że ją jedną, Inę, na całym świecie kocha i że jest to jego pierwsza miłość prawdziwa. Słowa te Helena Iwanówna w zupełności potwierdziła.

— *Uwlekał* się nieraz innymi kobietami — mówiła — ale tak jak za tobą, *duszeńka*, za żadną nie szalał. Cóż to znaczy, że jest żonaty, kiedy żony nie kocha? Jedna tylko na świecie jest rzecz ważna: miłość. Wszystko inne — to *głupości*, na które tylko napluć!

Gdy po kilku godzinach u Heleny Iwanówny spędzonych Ina do ciasnej, dusznej, ubogiej izdebki domu zajeźdnego wbiegła, ogarniało ją uczucie budzenia się ze snu rozkosznego i świetnego, a wpadania do otchłani rzeczywistości, ponurej i szpetnej.

Obrzydzeniem i żalem nad samą sobą bezgranicznym przejmowały ją ściany i sprzęty tej izdebki, szklanka pobielona wypitym przez matkę mlekiem, rozsypane na stole okruszki razowego chleba. Płonęła wstydem na myśl, co by to było, gdyby on... ten piękny, świetny człowiek, w swoim pięknym, świetnym mundurze wszedł tutaj i zobaczył... Prawem odziedziczenia może powtarzała w myśli nazwy niegdyś przez jej ojca Leszczynce nadawane. Gdyby książę zobaczył tę dziurę, tę norę, ten czyściec ziemski! Bolał ją po prostu sam widok tej izdebki; dławilo powietrze, istotnie duszne i przykre, którym w niej oddychała. Łzy polykając mówiła sobie, że ona do rzeczy tak prozaicznych i szpetnych stworzona nie jest, że jak rybie wody, ptakowi powietrza, potrzeba jej rzeczy poetycznych i pięknych. I szczerze, głęboko, z całej siły wierzyła, że mieszkanie Heleny Iwanówny, ze sprzętami jaskrawą materią obitymi i gracików błyszczących albo zabawnych pełne, to piękno, a uczucia, które namiętne spojrzenia i szept kniazia w niej budziły, to — poezja.

I gdybyż jeszcze mogła tu być sama jedna, swobodnie wspominać, marzyć... Ale to ciągle tutaj towarzystwo matki, jej zapytania i wyrzuty, jej zgryzoty i nocne płacze... ach, i ten sposób ubierania się jej, mówienia, chodzenia, samo brzmienie jej głosu, sama ciemność skóry oblekającej twarz i ręce. Już i dawniej, od dzieciństwa prawie raziło to ją i niechęcią napełniało, lecz w sposób nieokreślony, głuchy. Teraz wszystko przed oczyma jej uwypukliło się i wyrosło, a w myśli nabrało określeń wyraźnych i śmiałych. Teraz przychodziły chwile, w których śmiało przed sobą wyznawała, że matka budzi w niej uczucie bardzo podobne do odrazy, takiej zwyczajnej, fizycznej odrazy, jaka czasem przejmując ręce białe i delikatne przy dotykaniu rąk szerniałych i zgrubiałych, jaką czasem nerwami spragnionymi pieśczoży aksamitnej wstrząsa twarde i szorstkie dotknięcie.

Ale zdarzały się też chwile inne, nie wiedzieć skąd pochodzące: z głosu natury, ze wspomnień dzieciństwa może pochodzące, chwile, w których Inę fala uczuć nienazwanych a nagłych ku matce rzucała. Wtedy z ramionami dokoła grubej kibici zarzuconymi i z głową na jej kolanach szeptała:

— Mamciu! Mamciu kochana! Ja wiem... ja wiem... ale nie mogę... doprawdy, mamciu, ja inaczej nie mogę... nie mogę...

O czym wiedziała? Czego nie mogła? Nie powiedziała tego nigdy, nie potrafiłaby powiedzieć, bo w uczuciach i myślach jej panowały chaos i zamęt, wiały burzliwe wichry, leciały przeświecone jaskrawym światłem tumany kurzawy. A pani Teresa na te pieśczoży i bełkotliwe wyznania córki w sposób rozmaity odpowiadała: niekiedy wzajemną pieśczożyą i drżącą troskliwością pełnymi zapytaniami, ale niekiedy, gdy czuła się bardzo, bardzo, prawie nad siły, zgnębiona, zgryziona, strwożona, zmęczona, niecierpliwym sarknięciem i gniewnymi słowami:

— Nie wiem — mówiła — czego nie możesz i co się z tobą dzieje, ale czuję, że coś niedobrego się dzieje i że wysłać cię stąd muszę... do Leszczynki pojedziesz... już pisałam do Teleżuka, aby po ciebie przyjechał... i pan Koniecki w tych dniach do domu jedzie, zabierze cię i może u nich, u Konieckich, nim do Leszczynki przyjadę, przesiedzisz... Tu nie zostaniesz... Nianką swoją tu być czasu i siły nie mam... a pociechę i pomoc matce być nie umiesz... serca nie masz...

Wtedy Ina z wybuchem obrazy i żalu zrywała się od kolan matki i cała w ogniu, ostre błyskawice z oczu wyrzucając, wołała, że ani do Leszczynki, ani do Konieckich nie pojedzie za nic, za nic, że prędzej da się zabić, aniżeli tam pojedzie, że matka jej nie kocha, że jest ona nieszczęśliwa i od nieszczęścia swego choćby na koniec świata uciec by pragnęła.

Potem obie milkły, rozjątrzone, obrażone, rozżalone i resztę dnia lub wieczora spędzały w milczeniu, czasem ukośne, niechętnie lub niespokojne wejrzenia na siebie rzucając.

Aż przyszedł dzień, który ukazał Ince dwa zwierciadła, w zwierciadłach dwie przyszłości i rzekł: „Wybieraj!”

Kiedy pani Teresa śpiesznie biegła z więzienia do domu, aby zobaczyć, czy jest tam jej córka, a jeżeli nie jest, szukać, gdzie jest, jak nieraz już bywało, i u wszystkich znajomych o nią się dowiadywać, Inka w najodludniejszym miejscu zamiejskiego parku z Heleną Iwanówną rozmawiała. Za osłoną drzew i krzewów na małej ławce bardzo blisko siebie siedząc szeptem obie mówiły. Mówiły cicho, szybko, niezmiernie żywo, wzajem sobie mowę przerywając, jak mówić zwykli ludzie śpiesznie naradzający się i silnie wzruszeni.

— Więc za trzy dni — szeptała Inka — więc już za trzy dni... wyjeżdżacie... a cóż ja pocznę, co ja pocznę, co ja nieszczęsna pocznę... ja z desperacji nie wiem, co sobie zrobię... zwariuję chyba, utopię się...

Za rękaw sukni ją chwytając Helena Iwanówna w mowę jej wciąż wpadała.

— Ależ posłuchaj, *duszeńka*, posłuchaj tylko... mówić mi nie dajesz... ciągle przerywasz... Jaż mówię, że jest sposób tak zrobić, abyś nie potrzebowała desperować, wariować...

Ale Inkę burza rozpaczy porywała, ogłuszała, myśli i uwagę jej od towarzyszkii odrywając. Czoło rozpalone w obu dłoniach ścisnęła, łzy po zbladłych policzkach jej płynęły. Jednak szybko, nieprzerwanie, gwałtownie szeptała:

— Mama o niczym nie wie, ale domyśla się, niepokoi się, wyrzuty mi robi, chce mnie do Leszczyńki albo do Konieckich, sąsiadów naszych, wyprawić. Ja nie chcę do Leszczyńki! Ja nie chcę do Konieckich! Tam grób! Tam noc! Ja nie chcę grobu! Ja lękam się nocy! Ja teraz dopiero poznałam, co to prawdziwe życie, co radość, co szczęście...

Plączem zaniosła się, a Helena Iwanówna dłonią usta jej zamykać próbowała.

— Jaż tobie mówię, *duszeńka*, że jest sposób... posłuchaj tylko! Jest sposób, abyś od grobu i nocy...

— Jaki sposób! Nie ma żadnego sposobu! Wszakże wyjeżdżacie, Heleno Iwanówno... i on... za kilka dni... O, Boże mój, Boże! Już za kilka dni...

Zniecierpliwiona czy rozczulona, obu tych zresztą uczuć zapewne doświadczając, Helena Iwanówna jak sęp gwałtownie dziewczynę szlochającą w ramiona swe porwała, do boku swego przycisnęła i głowę jej jak na poduszce na piersi swej oparłszy, w samo prawie śliczne uszko spod ślicznego kapelusika wyglądające szeptać zaczęła. Cicho szeptała, długo szeptała, czasem krótkie pocałunki po twarzy Iny rozsiewając, czasem śmiejąc się cichutko, pieszczotliwie. Z szeptania jej wybijały się niekiedy słowa głośniejsze nieco wymawiane: *kniaź... rozwód... ślub... lubienie... Petersburg... kniabin... bale... rysaki... mąż krasawiec...*

Ina nie płakała już, lecz drżeć zaczęła i tak drżała, że Helena Iwanówna zląkła się może, aby z ławki nie spadła, bo z wielkim szelestem *czesuczowych*, bombiastych rękawów mocniej jeszcze do siebie przycisnęła, szeptać, chichotać, całować nie przestając, aż na koniec...

Po chwili dość długiej zgrabne, szczupłe, w biały muślin obleczone ramiona dziewczyny wyciągnęły się ku górze i szyję przyjaciółki, trochę krótkawą, trochę grubawą, z taką nagłością i mocą objęły, że aż na czarnych jej włosach przekrzywił się kapelusz z kwiatów bzu upleciony i rozkołysał się we wszystkie strony jego małe, białe piórka.

Oznaczałże ten milczący, namiętny, długi uścisk Inki trwogę czy radość lub wdzięczność, tulenie się pod opiekę czyjąś i oddawanie się w moc czyjąś, czy wszystko to razem zmieszane, wzburzone, skłębione w jeden poryw, w jedną żądzę, w jeden szal?

Wkrótce potem Ina do mizernej izdebki swej wchodziła, a pani Teresa zadziwiła się ujrawszy ją tak łagodną, cichą, czułą, jaką tu nie bywała już od dawna. Zaraz ode drzwi pogarnęła się ku matce i dziwnie pokorna, zamyślona, w obie ręce ją pocałowała. Potem jakby zapytania i wyrzuty uprzedzić pragnąc, mówić zaczęła, że była w parku, że teraz tam spiree przepysznie kwitną i Leszczyńkę jej przypomniały, że jutro pójdzie z matką do więzienia i trochę kwiatów tych braciom zanieś. Zapaliła małą lampkę i zaczęła przy świetle jej suknię matczyną w kilku miejscach rozdartą naprawiać.

Pani Teresa niedowierzająco i niespokojnie zrazu na córkę patrzyła, lecz wkrótce radość błoga do serca wstępować jej zaczęła.

Jaka ona śliczna, jaka miła, gdy tak uspokoi się, zładodnieje, nad robotą jaką złotą główkę swą pochyli! Bajecznie do ojca podobna! Te same oczy i włosy... te same wady i ten sam czar! I tak samo... raz anioł, raz szatan!

A Inka szła i niekiedy szafirowe oczy swe z anielskim spojrzeniem na matkę podnosząc mówiła, że szkoda, ach, jaka szkoda i jakie nieszczęście, że wyrok na Janka i Olka nie kniaź, ale ten jakiś nowy i niewiadomy wydawać będzie...

— A ty skąd wiesz o tym? — zadziwiła się pani Teresa.

Z łagodnym wzruszeniem ramion odpowiedziała:

— Słyszałam... wszyscy o tym mówią... Kniaź wczoraj urząd swój złożył i dziś już w komisji nie zasiadał.

Słyszała o tym istotnie od niego. On dziś u Heleny Iwanówny, blisko, blisko niej siedząc i rękę jej w swojej trzymając, mówił:

— Ja na braci waszych, Ino Julianówny, wyroku wydawać nie będę, bo z góry *przykazano*, abym był srogim... więc kamienia tego nie położę i dołu tego nie wykopię pomiędzy tobą a sobą, ty moja ukochana, upragniona...

Gorąco żaru i wino upojenia napełniły jej pierś i głowę, gdy teraz delikatnymi nićmi dziurę w sukni matczynej cerując słowa te wspominała. Miała takie uczucie, jakby ta dziura i to cerowanie w palce ją piekły, jednak cerowała dalej cierpliwie i gdy po chwili oczy na matkę podniosła, coś na kształt żalu w nich błysnęło. Na myśl, co za dni parę stanie się, stać się musi, co pomiędzy nią i matką jej jak kamień i jak dół — o, jak głęboki, legnie, serce jej uszka pokazało... na chwilę.

Pani Teresa z zaciśniętymi kurczowo rękoma, z głęboko wpadłymi oczyma siedziała na łóżku zdruzgotana, zgnębiona. Synami zajęta, o pieniądze na dalszy pobyt w miasteczku skłopotana, nikogo ze znajomych w ostatnich dniach nie widując, o tym, że zmiana dla niej straszna już zaszła, nie wiedziała.

Co teraz nastąpi? O Boże, co nastąpi? I kiedy nastąpi? Rychło zapewne, rychło. Wóz albo przewóz. Niebo albo piekło. Z Jankiem i Olkiem do Leszczynki powróci albo...

Dwa dni upłynęły i — wyrok zapadł... Podpisała go ręka od ręki kniazia czerwieńsza... rozkazowi zresztą otrzymanemu z góry posłuszna.

Zsyłka do Permu, w czasie jak najkrótszym pod zbrojną strażą mali buntownicy odwiezieni zostaną do najbliższej — jednak dalekiej — stacji kolei żelaznej, a stamtąd parowozem na granicę dwóch części kuli ziemskiej, pod stopy Uralu...

...Z twarzą, która powlekała się barwą ziemistą, z powiekami w pociemniałych oczodolach od płaczu krwawymi pani Teresa stała przed więziennymi wrotami i patrzyła na oddalający się dwukonny wóz... Dopóki tylko dojrzeć je było można, patrzyła na coraz dalej oddalające się, oddalające dwie małe, blade twarze, które na wozie obracały się ku niej, jak oplatki świecąc wśród podniesionych dokoła luf i i bagnetów.

Gdy na zakręcie drogi znikły — odeszła.

Nie biegła, nie pędziła; szła powoli z piersią ciężko dyszącą, z plecami po raz pierwszy w życiu przygarbionymi.

Nic dokoła nie widziała, nie słyszała, o niczym nie myślała. Dusza jej krwawym gwoździem przybita do tych małych, bladych twarzy, które tylko co w oddaleniu sprzed oczu jej znikły, wlokła się za nimi cała, wsuwała się pomiędzy otaczające je bagnety, kreśliła nad nimi obronne i opiekuńcze krzyże, całowała, żegnała splakane oczy Olka, jak płótno zbielełe, lecz hardo zaciśnięte usta Janka.

Na kształt ranionego zwierza, który instynktem gnany czołga się ku legowisku swemu, aby paść na nie i skomłać z bólu ranę swoją lizać, pelzała raczej niż szła ku swej najętej, mizernej izdebce...

Tu, na drzwi izdebki spojrzawszy, przypomniała sobie.

„A Inka?”

Gdzie jest Inka? Miała wnet za nią przybiec do więzienia i ostatnie godziny te spędzić z braćmi, a tylko na chwilę czegoś jeszcze do miasteczka...

— Zaraz przybiegnę, mamciu, zaraz przybiegnę...

Miała kapelusza na głowie, w rękę parasolkę, na policzkach rumieńce silne i w oczach lzy...

— Niech mamcia idzie, ja zaraz przybiegnę...

Odbiegła, wróciła, uścisnęła matkę. Dziwnie uścisnęła, mocno, długo. Ale pani Teresa nie dziwiła się. W dniu tak strasznym, w tym piekielnym dla niej dniu... że córka zapłakała, uścisnęła, cóż dziwnego?

Jednak nie przyszła! Cóż to znaczy? Gdzie jest? Co się z nią dzieje?

Niecierpliwie, silnie, głośno pchnęła przed sobą drzwi izdebki. Weszła.

Nie ma Inki.

Coś się działo w tej izdebce, coś się tu działo!

Szuflada starej, krzywej komody, w której Inka swoje różne muślinki, paski chowała, w całej szerokości wyciągnięta, pusta.

Miejsce na ścianie, gdzie sukienki swoje zawieszała, puste.

Jezus, Maria!

Na stole, o szklanekę z niewypitym mlekiem oparta, karta papieru jej ręką zapisana.
O Jezus, Maria!

Moja kochana mamciu! Mnie bardzo przykro, ja bardzo żałuję, że mam cię rozgniewam i zmartwię, ale inaczej nie mogę! Nie mogę! Kiedy mamcia czytać to będzie, ja daleko już stąd... daleko... Mnie nawet smutno, że mamę porzucam, ale tak kocham, tak nad życie, bez granic kocham... Mama zna jego... to książę Borys... I on kocha mnie szalenie, bez granic, ale ja nie z nim jadę, tylko z pewną przyjaciółką jego i moją, u której też w Petersburgu mieszkać będę, dopóki ślubu z sobą nie weźmiemy... A kiedy już zostanę żoną księcia, co wkrótce nastąpi, wszystkim nam będzie lepiej. On dla Janka i Olka powrót do domu wyjedna, a Bronię i Ludwinkę ja zaopiekuję się, aby im edukację świetną...

Było tam pisma więcej jeszcze wiele: wyraźniejsze od innych występowały wśród niego słowa: „miłość”, „szczęście”, „przesady”, „wszędzie ojczyzna może być”, „wszystkie wiary sobie równe”, ale pani Teresa czytać dalej nie mogła, bo z trzęsących się rąk jej wypadła kartka papieru i szeroko, szeroko rozwarły się te ręce, a potem głośno klasnęły w dłonie, gdy z ust tak jak ta kartka zbielełych wypadł krzyk:

— Łajdaczka!

Padł krzyk ten w ciszę izdebki jak kamień w wodę i długo po nim nic nie następowało. Jak w kamień obrócona stała pani Teresa z rękami rozpostartymi, z oddechem w piersi krótkim i świszczącym, z czołem, wargami i policzkami drgającymi. W ciemnych głębokich oczodołach, pod zakrwawioną od łez powieką gorzał płomień gniewu i morze pogardy rozlewało się po ustach, gdy wychodzić z nich począł dyszący, syczący szepc:

— A niedoczekanie twoje, abys ty... dziećmi mymi... opiekować się miała... ty... ty...

I nagle krzyk znowu przeraźliwy, ogromny, podobny tym, jakimi matki wtórzają zabijaniu gwoździami trumien ich dzieci.

— Inka, dziecko moje! Jezus, Maria! Inka moja, Inka!

Runęła na ziemię, ramiona na niej rozpostarła, palce wbiła w deskę podłogi, czołem o podłogę uderzyła i — nieruchoma pozostała, a tylko z piersi jej dobywać się poczęły dźwięki bez słów, głośne, nieustanne, podobne do szlochów suchych i nigdy skończyć się nie mających, podobne do tego wycia, z jakim niekiedy nad rozłogami śniegów latają zimowe wiatry.

Tak u zwałiska zburzonej Troi Hekuba, Priamowa żona, wyła z żalości po synach pobitych i uwięzionych córkach.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/gloria-victis-hekuba>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, *Gloria victis*, Czytelnik, wyd. 1, Warszawa 1986

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Sylwia Hornowska.

Okładka na podstawie: Studio Mohawk@Flickr, CC BY 2.0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie wolnelektury.pl.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).